№ 18 Warszawa, dnia 24 Kwietnia (6 Maja) 1882 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

MARYA STUART

W HISTORYI I W LITERATURZE.

Napisał

ZORYAN.

(Dalszy ciąg.)

Zaledwie stosunki wewnętrzne państwa nieco uregulowano, powstały nowe kłopoty, trwające z górą lat cztery, a temi było małżeństwo Maryi.

Marya była młoda i piękna, nic więc dziwnego, że konkurentów miała wielu. W obec takich stosunków naturalnem było, że Marya szukała męża, któryby urodzeniem i stanowiskiem był jej równym, a zarazem mógł wzmocnić siłę Szkocyi. Stanowczo też oświadczyła że nie poślubi nikogo, coby był niższym godnością od jej pierwszego męża. Później odstąpiła od tego oświadczenia. Z pomiędzy licznych konkurentów dość wymienić królów Danii i Szwecyi, arcyksięcia Karola i królewicza hiszpańskiego Don Carlosa. Ten ostatni był Maryi najpożądańszym, bo choć młodszy od niej o lat trzy, był spadkobiercą potężnej korony, a tem samem mógł małżonce swej zapewnić pokój ze strony Anglii, lub w razie wojny, pewną przewagę. Skoligacenie się z tak potężną za Filipa II Hiszpanią uśmiechało się Maryi bardzo — niestety jej tylko. Protestanccy lordowie, lud podburzany nieustannie przez Knoxa, byli najzupełniej planowi temu przeciwni. Obawiali się tyranii hiszpańskiej i prześladowania wiary. Filip II chętny był zrazu, lecz skoro cesarz niemiecki powziął myśl starania się o rękę Maryi dla swego młodszego syna Karola, odstąpił natychmiast, bo nie chciał stać w drodze cesarzowi. Toż i dwór francuzki nie sprzyjał temu, bo dumna Katarzyna Medicis ułożyła już plan małżeństwa Don Carlosa z jedną ze swych córek. Kardynał Lotaryngii, acz z początku popierał Maryą, odstąpił także dla dobra Francyi. A już najbardziej zżymała się na samą myśl tego małżeńtwa Elżbieta. Wiedziała ona dobrze, że związek ten mógł prędzej czy później obalić jej tron; jej postanowieniem było nie dopuścić, ażeby Maryi mąż był katolikiem, lub księciem zagranicznym, a tem mniej potężnym — czego się bardzo obawiała.

Po długich walkach wszystkie plany upadły. Teraz wystąpiła Elżbieta ze swoim, podała mianowicie myśl małżeństwa Maryi z lordem Robertem Dudley'em. Do urzeczywistnienia tego projektu dokładała wszystkich starań, lecz Marya stanowczo odrzuciła, oświadczając wyraźnie, że za poddanego królowej Anglii nie pójdzie. Natomiast, gdy widziała, że wszystkie poprzednie nadzieje stracone, że naród życzy sobie, ażeby poślubiła którego z możnych panów Szkocyi, wybrała lorda Henryka Darnley'a, spokrewnionego z domem królewskim angielskim zarówno, jak z rodem Stuartów.

Pierwsza myśl tego małżeństwa natrafiła na silny opór. Elżbieta nie chciała nawet o tem słyszéć, a zjednani przez nią Lethington i Murray utworzyli wrogie Maryi stronnictwo, do którego wszyscy protestanci przystąpili. Darnley wychowany był przez matkę w wierze katolickiej, ztąd też skupiło się natychmiast około niego silne stronnictwo katolickie. Bardzo czynnym okazał się wówczas sekretarz królowej Rizzio. Niezadowolenie protestantów, a bardziej może niechęć Murraya doszła do tego stopnia, że nastąpiła otwarta walka, a każde stronnictwo zbierało siły zbrojne. Wtedy to także cofnęła Marya wyrok banicyi, wydany poprzednio na Bothwela, który zaraz po powrocie z Francyi przyłączył się do królowej przeciw Murrayowi.

Marya przez cały czas tych walk okazywała niezwykłą energią i wytrwałość, w końcu uwieńczyła swą pracę. Przedłożyła parlamentowi żądanie małżeństwa i 29 lipca 1565 roku odbył się ślub uroczyście, a podczas bankietu weselnego lordowie państwa oddawali hołdy królewskiej parze, bez różnicy.

Murray nie mógł się pogodzić z myślą o tem małżeństwie, a że niełatwo uginał karku i już do otwartej wystąpił walki, z całą więc zapamiętałością rzucił się znowu do przygotowań. Elżbietę na miłość boską zaklinał, aby mu przysłała posiłki, bo tu idzie o walkę za wiarę, w Szkocyi wystąpował w obronie praw królewskich, które nazwał pogwałconemi przez małżeństwo Maryi.

Marya wyruszyła natychmiast w pole i odniosła świetne zwycięztwo. Umiała też postępować z swymi poddanymi, zapewniała ich w swych proklamacyach o zupełnej tolerancyi religii, a wzywała do walki przeciw wichrzycielom. Jakoż niedługo musieli przywódzcy powstania po zupełnej przegranej uchodzić z kraju. Teraz zaczęła się królowa otaczać katolikami. Na miejsce Murraya zamianowała prezydentem rady hrabiego Athol'a; James Bothwel otrzymał godność admirała i dowództwo prowincyi zachodnich. Wówczas to po raz pierwszy zbliżył się lord do Maryi.

Po trudach rządzenia zapragnęła Marya odetchnąć swobodnie bodaj w ścisłem, zamkniętem kółku domowem. Ona, przyzwyczajona do swobody, wesołości i zabaw, nie mogła prawie wyżyć wśród wpół dzikich nieraz zwyczajów szkockich, a że była młoda, piękna, że była namiętna nic dziwnego że szukała rozrywek koniecznie. Pożycie małżeńskie nie było szczęśliwe. Pierwsze chwile namiętności minęły, zaczęła się bliżej przypatrywać swemu małżonkowi i znalazła go nad wyraz nieprzyjemnym. Henryk był, jak większa część szlachty szkockiej bez wykształcenia i wiedzy,

a tem samem nie mógł być doradzcą królowej w ciągłych a ciężkich potrzebach. Marya spostrzegła teraz dopiero, że brak mu zupełny gładkości w obejściu, elegancyi, do której przywykła na dworze francuzkim, że przeciwnie jest szorstkim, niedbałym wcale o swą małżonkę, a oddany tylko hulankom nocnym i ciągłym polowaniom, że obok pychy i żądzy królowania nie ma do tego najmniejszej zdolności.

Największe usługi oddawał wówczas Maryi jej sekretarz, Dawid Rizzio. Włoch ten przybył do Szkocyi bez najmniejszego znaczenia, bo jako kamerdyner czy sekretarz hrabiego Moreta, posła sabaudzkiego; dla pięknego śpiewu dostał się w służbę Maryi. Marya lubiła muzykę, dla niej więc lubiła Rizzia, a gdy okazał biegłość w języku francuzkim, zrobiła go swym prywatnym sekretarzem. Jako taki załatwiał jej korespondencyą, a w pokonywaniu rozlicznych trudności przy zawarciu małżeństwa Maryi z Darnley'em, okazał czynność bardzo skuteczną. Później umiał tak radami stać się Maryi użytecznym, że niemal wszystkie sprawy państwa przez jego przechodziły ręce.

Takim był Rizzio.

Że Marya go lubiła, nic dziwnego. Kiedy mąż oddawał się cały hulankom, ona, siedząc samotna, znachodziła przyjemność w słuchaniu śpiewu, a rozmawiając to o dworze papieża, to o Francyi, unosiła się myślą w szczęśliwą przeszłość, która dla niej bezpowrotnie minęła. Dodać należy, że Rizzio, mając stosunki tajemne na dworze papiezkim i francuzkim, był Maryi bardzo użytecznym. Lecz dlatego właśnie, że przez niego Marya wszystko załatwiała, że on był wtajemniczony we wszystkie sprawy państwa, ściągnął na się zawiść wrogów, którzy, groźnego w nim upatrując nieprzyjaciela, poczęli wiązać się w ligę; należała do niej najprzedniejsza szlachta szkocka, a na jej czele Murray i król Darnley. Spisek rozgałęziono bardzo, a nawet udano się z prośbą o pomoc do Elżbiety. Postanowiono przemocą porwać królową, Rizzia zamordować, a rządy oddać Murrayowi, choć pozornie miał figurować Darnley. Najnikczemniejszym okazał się w całej tej sprawie Henryk Darnley, raz że przeciw własnemu krajowi łączył się z wrogą Elżbietą, powtóre, że dopuścił się oszczerstwa najniegodniejszego, bo przyznał, iż dla Rizzia złamała Marya wiarę małżeńską — a jednak później z tym samym bezwstydem odwołał to wszystko.

Marya istotnie ulegała wpływowi Rizzia, a myśl jej dawna: chęć zemsty nad nieprzyjaciołmi i podniesienie katolicyzmu zaczęły wydawać owoce. Zapewniwszy sobie jaką taką pomoc materyalną, ze strony papieża (8,000) talarów) i Hiszpanii (20,000), oświadczyła przy otwarciu parlamentu, że myśli o ukaraniu buntowników i powróceniu dawnej religii. To spowodowało, że sprzysiężeni, którzy w tem głównie wpływ Rizzia upatrywali, już w dwa dni potem (9 marca 1566) zamiar swój wykonali.

Było to wieczorem. Marya siedziała w towarzystwie hrabiny Argyl, dowódzcy straży zamkowej Craiglia (rodzeństwo naturalne Maryi), lorda Roberta Stuart, lekarza i Rizzia przy stole, gdy przez skryte drzwi, wiodące do apartamentów króla, wszedł Darnley i po uprzejmem pozdrowieniu usiadł obok królowej. Za nim zjawił się w pełnej zbroi Ruthven, Lindsay i inni. Marya zapytała z godnością Ruthvena co go skłania do podobnego kroku, na co tenże odpowiedział: „Widzę tu człowieka, który zajmuje miejsce nieprzynależące mu; służącemu jak ten, nie pozwolimy w Szkocyi rządzić." A kiedy Ruthven chciał ręką dosięgnąć Rizzia, kryjącego się trwożliwie za królową, ta oświadczyła, że targnięcie się na niego będzie uważała za zdradę majestatu. Lecz słowa Maryi nie skutkowały. W jej oczach zadano Rizziowi pierwsze ciosy, następnie wywleczono go z pokoju i tam zakłuto go. Podczas dokonania tej zbrodni był Darnley obecny. Następnie wszedł Ruthwen do królowej i oświadczył, że lordowie skazani na banicyą, natychmiast powrócą, że odtąd nastąpi konieczna zmiana rządu i polityki, przyczem wyraźnie położył nacisk na wpływ Rizzia, za którego poradą królowa chciała katolicyzm przywrócić. Stronnicy królowej uszli w zamieszaniu, do nich należał także nowy admirał, lord Bothvel. Podczas kiedy spiskowi trzymali zamek w oblężeniu, zebrali się mieszczanie zbrojno, żądając wyjaśnienia. Powiedziano im, że królowa znajduje się pod opieką króla, a tylko jej sekretarz, który z pomocą papieża chciał napowrót katolicyzm wprowadzić do Szkocyi, zginął. Wierząc w opiekę królewską, rozeszli się ci, co poczytywali sobie za obowiązek bronić królową.

Marya wpadła w stan dziwnego rozdrażnienia, wszystko, co ją spotkało, nie mogło się zrazu pomieścić w jej głowie. Wkrótce jednak powzięła postanowienie i zaczęła pracować nad jego wykonaniem. Brat jej, lord Murray, zapewniał ją, że wszystko weźmie dobry obrót, przyrzekł też bronić jej. Marya była uległą mężowi i bratu, a udawała miłość ku nim tak dobrze, że jeśli nie obaj, to przynajmniej Henryk uwierzył jej zupełnie i wtajemniczony przez nią w myśl ucieczki, postanowił chętnie dopomagać. Przed wykonaniem jeszcze planu przyrzekła Marya przebaczenie banitom i podpisanie dotyczących dokumektów. Darnley, teraz zupełnie pozyskany przez królową, zaręczył święcie, że żona słowa dotrzyma.

Tejże samej nocy opuściła Marya z Darnleyem w towarzystwie Artura Erskine i trzech służących Holyrood, przez piwnice zamkowe. Po dwugodzinnej, nieprzerwanej, a szybkiej jeździe konnej, w piękną noc księżycową zatrzymała się uciekająca królowa w twierdzy Dunbar. Stronnicy jej, którzy wpierw z zamku się wymknęli: Bothvel, Huntly i Athol przybyli zaraz z licznemi orszakami w pomoc. Marya wydała proklamacyą przeciw rokoszanom i z podziwu godną energią i przezornością, rozpoczęła kroki przeciw nim. Do Elżbiety napisała z zapytaniem, czy zamyśla dalej popierać rokoszan, jeśli tak, to niech pamięta, że Marya znajdzie przyjaciół więcej, aniżeliby Elżbieta sądzić mogła. Elzbietaunikała stanowczo zerwania stosunków, bo wypadki szkockie wzburzyły katolików w Anglii. Dlatego zapewniała Maryą o swojej przyjaźni i ofiarując pomoc, Darnleyowi przypomniała groźnie jego obowiązek uległości dla królowej, a Murraya upomniała, aby był siostrze wiernym, jeśli nie chce utracić jej łaski.

Natychmiast podała Marya dłoń zgody Murrayowi, Argyll'owi i kilku innym możnym przeciwnikom, a wzmocniwszy tak swe stanowisko, wezwała zabójców Rizzia przed sąd: lecz gdy królowa zwycięzko do Edynburga wkraczała, wszyscy ci umknęli. Darnley, który, opuszczony od lordów, zupełnie zdał się na łaskę Maryi, musiał podpisać uroczyste zeznanie, że ani w sprawie zabójstwa Rizzia, ani w spisku przeciw królowej nie miał najmniejszego udziału. Pismo to ogłoszono publicznie. Świadczy ono najlepiej, czem był Darnley, mąż królowej. Wszakże nie zyskało mu to ani szacunku, ani miłości Maryi, która obchodziła się z nim z pogardą i umiała go należycie ocenić, tembardziej, że zdradzeni przez niego sprzysiężeni dali Maryi oba akta spisku, przez niego podpisane.

(*D. c. n.*)

GALILEE VICISTI!

...I zawiesili na krzyżu z hebanu,
Tego co życie dał dla życia świata,
Więc cześć boleści — cześć owemu Panu,
Co błogosławił nawet — swego kata.

* * *

Trzy dni na krzyżu — On ów Pan nad pany
Wisiał — pod krzyżem bolejąca stała
Matka — i wzrokiem już bez łez patrzała
Nań — choć to Syn był nad świat ukochany...

* * *

Matko przebita siedmioma mieczami,
Módl się za nami.
Przy Bożym tronie — oczami jasnemi,
Błogosław starej naszej biednej ziemi.
Pięć części świata w zgodzie i w jedności,
Niech śle do Ciebie hymn szczerej miłości...

* * *

Święta Panienko — złota jutrzenko,
Proś za nas Boga w Trójcy jedynego,
Broń nas od wojen i wszystkiego złego.
My tacy smutni — pociesz nas! — my przecie
Od wieków czcimy Ciebie i Twe dziecię...
Niechaj pałace i dwory i chaty
Strzeże Gabryel twój poseł skrzydlaty.

* * *

Po wiośnie lato uproś miłościwe,
Na plenną naszą i uroczą niwę
Spójrz — a pszenica pochyli swe kłosy,
I hymn jak ona złoty — w Twe niebiosy
Uderzy kornie — spójrz na wszystkie strony,
Na szukających Twej świętej obrony.

* * *

W Jerozolimie — dzisiaj moc szatańska,
Urąga światu — o prawico Pańska!
Nie grom zniszczenia — lecz przeczyste blaski
Rzuć tam, błagamy: Łaski! łaski! łaski!

* * *

Choć zawiesili na krzyżu z hebanu,
Tego co życie dał dla życia ziemi,
Przebacz im Boże — niech wiernemi
Zostaną wszyscy........... Panu.

Miron.

PAN NAUCZYCIEL.

NOWELLA

BOŻENNY NIEMROWEJ. (*)

Przekład z czeskiego

przez

Zenona Przesmyckiego.

I.

Miałam sześć lat, gdy rodzice zaczęli się naradzać o potrzebie rozpoczęcia ze mną nauki. U nas szkoły nie było; dzieci musiały chodzić na naukę do miasta, o godzinę drogi oddalonego. Rano szły, wieczór wracały. Mnieby się to chodzenie także spodobało; dzieci opowiadały, jak w drodze swawolą, jak w porze jagód i borówek po drodze do lasu zachodzą, jak chłopcy na drzewa włażą, i o rozmaitych grach, jakiemi się po drodze do szkoły, a w południowej godzinie przed szkołą zabawiają. Ale rodzice inaczej na to patrzyli; mówili, że gdybym cały dzień była zostawiona sama sobie, tobym zdziczała, i uradzili ze stryjem oddać mnie do Chwalina, abym tam chodziła do szkoły, stojąc na stancyi u pani Kmotry. Sąsiedzi myśleli, że mnie nie oddadzą do szkółki wiejskiej, że się tam niczego nie nauczę, bo po wsiach nie ma tak uczonych nauczycieli jak w mieście; ale rodzice zostali przy swojem, i po przewodach ojciec odwiózł mnie do Chwalina na naukę. Myśleli moi rodzice i nie mylili się, że do ukształcenia życiowego lepiej mi posłuży szkółka wiejska z porządnym, sumiennym nauczycielem, niż miejska. Wiedzieli bez wątpienia, że nietylko w mieście, ale gdzieniegdzie i w miasteczku, nauczyciel udaje pana profesora, i tak też każe się nazywać rodzicom i uczniom, a w tem mniemaniu nie zniża się, jak należy, do uczniów swoich ani w mowie, ani w obejściu.

Pracuje zazwyczaj najprzód z zamożniejszemi, a ponieważ jak tylko dziesiąta lub czwarta godzina uderzy, przerywa naukę i dla dzieci biedniejszych rodziców czasu mu brakuje, przeto dopiero na prywatnych lekcyach, za które osobno mu się płaci, odkrywa wszystkie tajniki wiedzy, robi najważniejsze zadania, poprawia starannie i spokojnie wszystkie błędy dziecinne. Lecz niższe szkoły miejskie bywają bardzo przepełnione i ciężko z nich przebrnąć do wyższych, wolniejszych klas.

Znałam szkołę tylko z tego co mi o niej dzieci sąsiadów rozpowiadały, a opowiadania te były tego rodzaju, żem się szkoły bała. Przyczyniali się do tego i domownicy, bo jak tylkom co spsociła, zaraz mi grozili:

— No poczekaj, poczekaj, tylko pójdziesz do szkoły, tam cię nauczą być cicho!

Stara niańka chcąc mnie pocieszyć, mawiała:

— Moja duszeczko, już to inaczej być nie może, nauka to męka, którą każdy z nas musi przecierpiéć. Jakem ja chodziła do szkoły, to byłam bita jak żyto.

Słyszałam też karbową, jak powstawała przeciw szkole i buntowniczo twierdziła, że swego dziecka do szkoły nie poszle; że sama do szkoły nie chodziła, i chociaż nie umie ani czytać, ani pisać, przecież żyje. Aby zaś jej dziecko umiało modlić się na książce i podpisać się, tego je tato sam przez kilka wieczorów zimowych nauczy. Widziałam też samą karbową, jak kiedyindziej sama swe dziecko niemiłosiernie biła i z krzykiem i obelgami do szkoły wyganiała, gdy ją do tego z urzędu przymuszono. Nic tedy dziwnego, żem się szkoły bała jak jakiej męczarni.

Gdym się pierwszego rana obudziła w Chwalinie, zdawało mi się, że nikogo nie ma na świecie nieszczęśliwszego ode mnie; płacząc wstawałam, płacząc ubierałam się. Przy śniadaniu pani Kmotra powiedziała ciotce Agnieszce:

— Jak pójdziesz po mięso, weź z sobą tę dzieweczkę do szkoły, już zapisana.

— Zadrżałam jak listek, ale płakać przy Kmotrze się bałam.

Pani Kmotra była kobieta rozsądna, dobra, ale nie miała we zwyczaju okazywać swych uczuć, tak że kto jej bliżej nie znał, miał ją za zimną i nieczułą. Nawet z własnemi dziećmi nigdy się nie pieściła, choć życie by za nie oddała. Przywykłszy do znanych, łaskawych twarzy i miłego spojrzenia rodziców, do ich troskliwości, gdy mi co brakowało, do matczynego pocałunku i krzyżyka co wieczór, przed zaśnięciem, nie mogłam się przyzwyczaić do nowych twarzy, które na mnie tak zimno i jak mi się wtedy zdawało, tak obojętnie patrzały. Miałam serce jak w kleszczach i co chwila zbierało mi się na płacz.

Ciotka Agnieszka wzięła koszyk, a mnie przewieszono torebkę z elementarzem przez ramię. Tu nie mogłam wstrzymać się od płaczu, a gdy mnie Kmotra spytała, co mi jest, przyszło mi na myśl w tym strachu, wymówić się chorobą, jakem słyszała w domu że to robią dzieci. Rzekłam więc, że mnie boli żołądek. Ale pani Kmotra była mądra kobieta i poznała mi z oczu ze kłamię; poklepawszy mnie po ramieniu, powiedziała z uśmiechem:

— Niech sobie boli, potem przestanie; idź tylko do szkoły — do nauki potrzebujesz głowy!...

Zawstydziłam się; Agnieszka wzięła mnie za rękę i poszłyśmy. Na dole u furtki napadł mnie strach; uchwyciłam się za słupek — i że do szkoły nie pójdę.

— No, toby dopiero była piękna rzecz! zaczęła Agnieszka. Po cóż cię więc rodzice oddali, jak nie po to, abyś do szkoły chodziła?

— Jutro pójdę! — prosiłam.

— Dziś jak jutro, szkoła zostanie szkołą; tylko chodź, nikt cię tam nie ugryzie, zrzędziła ciotka.

— Ale mnie tam będą bić! zaszlochałam.

— Jak będziesz grzeczna nie będą cię bić. Nauczyciel jest dobry, a teraz chodź prędko, albo ci zrobię wstyd i poprowadzę cię do szkoły na sznureczku!

Widząc że wszystko nic nie pomaga, szłam jak pozbawiona woli, przez łzy nie widziałam drogi i potykałam się o każdy kamień.

Mieszkałyśmy w starym, niegdyś rycerskim zamku, wznoszącym się na skale; przy nim był folwark i wielki ogród. Pod zamkiem był staw, zarosły trzciną; od zamku wkoło stawu ciągnęło się w półkole wysokie wzgórze, u wierzchołka którego stały budynki, otoczone owocowemi sadami i ogrodami. Na przeciwległym od zamku końcu wzgórza, na samym szczycie stał kościół, plebania, szkoła i piękniejsze domki. Pod zamkiem koło stawu u grobli był młyn i browar, a od browaru ciągnęły się dołem doliną dwa rzędy domków, i chałup. Szłyśmy przez groblę; Agnieszka zaczęła mi wskazywać, gdzie co jest, gdzie kto mieszka, gdzie po to lub owo chodzi. Gdyśmy zaś wyszły na pochyłość pod górę ku kościołowi, doganiały nas dzieci idące do szkoły, wszystkie pozdrawiały nas słowem Bożem, każde się na nas obejrzało z uśmiechem — a ja przestałam płakać.

— Widzisz, to twoje koleżanki mówiła Agnieszka.

Przyszłyśmy przed kościół, wkoło niego był cmentarz ogrodzony murem.

— No widzisz, to jest nasz kościół. Na św. Egidyusza jest tu odpust i bywa pełno bud, jak na jarmarku. Tam ot za kościołem to plebania. Ksiądz pleban ma piękny ogród i jest dobry; jak się będziesz dobrze uczyć, będziesz mogła pójść do ogrodu popatrzéć i dostaniesz od niego owoców; on lubi dobre dzieci No, a to szkoła! mówiła Agnieszka i stanęłyśmy przed jednopiętrowym drewnianym budynkiem, bardzo mile wyglądającym. Zaproże było wybrukowane, a przed niem stała stara lipa. Z prawej strony od wejścia był przed oknami mały ogródek kwiatowy, ogrodzony zielonym płotkiem, co mi przypomniało dom rodzinny, zarówno jak te jaskółeczki pod strzechą. Za szkołą widać było sad. U progu leżał wiecheć słomy. Ciotka mi kazała, abym zawsze obuwie wycierała, bo pan nauczyciel ma być kontent, gdy dzieci są ochędożne. Serce mi drżało ze strachu, gdym przez próg przestępowała; ale płakać wstydziłam się. Wtem otworzyły się drzwi boczne i do sieni wszedł nauczyciel. Gdy nas zobaczył, uniósł czarnej aksamitnej czapeczki nad łysą głową, podziękował Agnieszce za pozdrowienie i pochyliwszy się ku mnie, wziął mnie za rękę, pogłaskał i bardzo serdecznym głosem przemówił:

— To jest Basia, moja nowa uczenica, nie prawdaż? Z niej będzie z pewnością dobra dziewczynka!

— Państwo przesyłają swoje uszanowanie, a niech też pan będzie z nią cierpliwym, wyrecytowała Agnieszka.

— Jak z każdym, panno Agnieszko, odpowiedział nauczyciel.

Agnieszka przykazawszy mi jeszcze, abym słuchała, pożegnała się i odeszła, wyprowadzona za drzwi przez pana nauczyciela.

Jakem zobaczyła nauczyciela i jak do mnie tak łaskawie przemówił, spadł mi z serca cały ciężar. Zawsze mi w domu u nas opowiadały dzieci, że nauczyciel jest cały zatabaczony, że jego kamizel-

---

(*) Bożenna Niemrowa, znakomita autorka czeska, urodziła się w Wiedniu 1820 roku z ojca niemca Jana Pankla i matki czeszki Teresy Nowotnej. Z powodu ciągłych podróży ojca, całe wychowanie jej spoczywało w rękach matki. W 1837 roku wyszła za mąż za Józefa Niemra urzędnika, z którym dostała się w 1842 roku do Pragi, do tego ogniska ruchu umysłowego, do którego już dawno wzdychała. Tu poznała najznakomitszych ludzi owego czasu: Nebeskiego, Czejkę, Kiegra, Tomiczka, Szumowskiego i innych, którzy znając jej zdolności zachęcili do pisania.

Odtąd rozpoczęła się jej działalność literacka, która jej nie opuszczała do samej śmierci w 1862 roku. Za najznakomitsze jej utwory uchodzą: *Babicka, Pohorská vesnice* i *Národní bachorky a pavesti*. Prócz tego, Niemrowa znana była jako gorliwa zbieraczka podań i gawęd ludowych, znała doskonale literaturę polską, rosyjską, serbską i bulgarską, lubiła bardzo nauki przyrodnicze, zwłaszcza botanikę.

Nowelkę jej pod tytułem „Pan Nauczyciel", wybraliśmy dlatego, że jest to epizod z życia samej Niemrowej, i że znakomicie z serdeczną prostotą, przedstawia ówczesne urządzenie szkółek wiejskich w Czechach.

ka i palce to jakby z samej tabaki, że nosi pod pachą trzcinkę, a gdy się rozzłości, to zazgrzyta zębami, położy sobie dziecko na kolanie i jak zacznie bić, bić... Nauczyciel przedstawiał mi się zatem jako człowiek groźny, szkaradny, i bałam się go więcej niż św. Mikołaja.

Ale jakże całkiem inny był nauczyciel z Chwalina! Włosy jak śnieg białe spływały mu aż na kołnierz, wierzch głowy miał łysy, przykryty zazwyczaj czarną czapeczką. Twarz miał dobrze już pomarszczoną, ale piękną, miłą, a niebieskie jego oczy na każde z nas tak łaskawie patrzyły, żem z niego oczów spuścić nie mogła. Na sukni nauczyciela nie było ani pyłeczka, a pod pachą niósł książkę. Gdy Agnieszkę za próg wyprowadził, wziął mnie za rękę i weszliśmy do izby szkolnej. Pan nauczyciel uniósł czapeczki, a dzieci wszystkie jak jedno wstały i pozdrowiły. Uprzejmie im podziękował i zapytał:

— Czy wszystkieście obecne, moje dzieci? Czy nikogo z was nie brakuje?

— Nikogo! — ozwały się dzieci jednogłośnie.

— To mnie cieszy. Teraz was będzie o jedną więcej; oto przyprowadzam sobie nową uczenicę a wam towarzyszkę. Ufam, że będziecie z Basią w dobrej zgodzie, i że z chęcią ją przyjmiecie, mówił pan nauczyciel, wskazując na mnie.

— Przyjmiemy! ozwały się dziewczęta i zaraz się do mnie mile poczęły uśmiechać.

Chłopcy patrzyli na mnie, ale nic nie mówili. Potem posadził mnie pan nauczyciel w trzeciej ławce, obok Basi piekarzówny, spytał, czy wszystko mam z sobą, a widząc książkę zapytał czy umiem czytać. Potem zaś wskazawszy mi gdzie mam położyć torebkę i jak mam siedzieć, wystąpił przed ławki, zdjął czapeczkę i złożywszy ręce rzekł:

— Dziatki, módlmy się!

Dziatki czekające już na to wezwanie, wszystkie grzecznie powstały a złożywszy ręce, nabożnie wzniosły oczy na krzyż i ze wzrokiem weń utkwionym powtarzały spokojnym głosem króciutką modlitwę, którą mówił nauczyciel, również do krzyża zwrócony.

Widząc taką jego prawdziwą pobożność, naśladowałyśmy go wszystkie, i nikomu ani przez myśl nie przeszło, podczas modlitwy oglądać się lub rozmawiać, a tem mniej swawolić. Niekiedy, zwłaszcza gdyśmy się przyspasabiały do świętej spowiedzi lub komunii, ukląkłszy przed krzyżem odmawiał z nami krótkie, ale gorące modlitwy. Po modlitwie następowała pieśń bądź treści pobożnej, bądź pobudzająca do nauki, moralności, pilności a potem zaczynała się lekcya.

Oglądałam się chwilami za trzciną, za oślą ławą, za woreczkiem z grochem, na którem podobno klęczą dziewczęta, za czarną tabliczką i za innemi strasznemi rzeczami, o których słyszałam w domu. Ale w szkole Cwalińskiej nie było ani oślej ławy, ani trzciny, ani czarnej, ani też żadnej innej hańbiącej tabliczki. Na głównej ścianie izby, czysto pobielonej, wisiał piękny obraz przedstawiający Chrystusa błogosławiącego maluczkich; nad stolikiem pana nauczyciela wisiał portret cesarza i widok miasta Pragi; na bocznej ścianie wisiała mapa Czech i w ramce za szkłem czysto napisane moralne zdanie, zazwyczaj co tydzień inne. W poniedziałek mianowicie wywieszał pan nauczyciel przy kaligrafii ten wzór, który z całego przeszłego tygodnia był najpiękniejszy. Pisaliśmy przy kaligrafii zawsze tylko jedno zdanie. Naprzód pokazał pan nauczyciel oddzielne, bądź trudniejsze mniej znane litery, któreśmy za nim pisały na swych tabliczkach i w zeszytach; potem napisał całe słowa, i przejrzawszy zaraz prace wszystkich piszących, uważał, że już pójdzie dobrze; w końcu więc napisał całe, lecz tylko jedno i to krótkie zdanie. Zdania te były zawsze użyteczne, a ponieważ były krótkie i pisaliśmy je po całej godzinie — przyczem nam nieustannie pomagał — głęboko w pamięci nam utkwiły. Kto więc to lub owo zdanie najpiękniej napisał, tego spotykał ten zaszczyt, że pan nauczyciel wkładał jego pismo za szkło, gdzie zostawało aż do drugiego poniedziałku.

Niedaleko drzwi w kącie stał zielony kaflowy, starożytny piec, wydający w zimie przyjemne ciepło. W przeciwnej ścianie izby było trzy okna, przez które widać było zamek, a za zamkiem zielone wzgórza i lasek sosnowy. Koło pieca stała szafa, w której były papiery, książki i inne pomoce i środki naukowe. Kiedy pan nauczyciel pierwszy raz w moich oczach szafę otworzył, Basia trąciła mnie łokciem, i wskazawszy głową na książkę w czerwonych okładkach ze złotemi brzegami i ozdobami, szepnęła mi:

— To złota księga!

— A gdzie jest czarna? zapytałam.

— Czarnej my nie mamy; do złotej księgi zapisują się najlepsi uczniowie i uczenice i na egzaminie odczytują się głośno, poczem dostają od księdza dziekana obrazki i książki.

W tejże skrzyni dojrzałam także rozmaite zwierzątka: wiewiórkę, łasicę, tchórza i wiele innych, nawet i ptaki, których dotychczas nie znałam. Stały one i siedziały. Lecz to mi się w głowie nie mogło pomieścić, jakim sposobem są one tam żywe i dlaczego nie są na dworze. To mi się dziwnem zdało i chciałam się już Basi zapytać, gdy wtem pan nauczyciel, czytając z małemi „o wiewiórce”, poszedł do szafy i wyjął z niej wiewiórkę, siedzącą na pieńku, i pokazał ją, opowiadając i zapytując o jej powierzchowność, pożywienie, naturę i sposób życia. Tu dopiero dostrzegłam, że zwierzątka te nie są żywe, ale wypchane. A gdy na zapytanie nauczyciela:

— Co się wam, dziateczki, w wiewiórce niepodoba? ja odpowiedziałam, że wszystko psuje i gryzie, a on kontent z tej mojej odpowiedzi powtórzył ją i dzieciom tłomaczył: uszczęśliwiona usiadłszy, jużem z niego więcej nie spuściła oka; przez cały czas nauki tylko myśl o złotej księdze i pragnienie, ażebym już w niej była zapisana, rozrywały moją uwagę. Gdy przyszłam do domu ze szkoły, pytała mnie Agnieszka:

— No pokaż się, czyś cała, czy cię tam nie ugryźli kawałek.

Nic na to nie powiedziałam, tylkom się uśmiechnęła, ale po południu bez zapędzania sama wzięłam torebkę i z chęcią pośpieszyłam do szkoły.

(*D. c. n.*)

Z PAMIĘTNIKÓW
Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Ludomira Szczerbowicza Wieczora

(Dalszy ciąg.)

Nie wiem, od jak dawnego czasu pradziadek Fruktus przypisywał sobie „około dziewięćdziesięciu” lat, ale podobno było to już jego stałe wyrażenie czyli raczej maximum i nigdy nie przyznawał sobie więcej. W istocie zaś musiał mieć już wtedy sto lat przeszło, a umarł mając około 120.

— Tak jest, tak jest, długo już ja żyję na świecie, wiele doświadczyłem, dużo widziałem... O tem wszystkiem dowiecie się może kiedyś *detalicznie*, tak jest, detalicznie... A umiecie wy bajki Krasickiego zagadnął raptem.

— Umiemy kilka, była odpowiedź.

Przygotowano już nas do tego egzaminu, gdyż było wiadomem, że Krasicki szczególnej jest ulubionym pradziadkowi poetą. Nie czekając więc dłużej, Oleś, spuściwszy nieco głowę i tonem jakby trochę zadąsanym, zadeklamował:

Wkoło jeziora, z wieczora i t. d.

Następnie ja wyrecytowałem bajkę o Jowiszu i rolnikach. W zakończeniu tej bajeczki:

Bo zboże, *traktowane w kontr* swojej *naturze*,
Wypaliło się w nizinie, wymokło na górze.

Pamiętam, że mi zawsze instynktowo nie podobał się wiersz przedostatni, z początku jako niezbyt dla dzieci zrozumiały, a i później, gdym go już zrozumiał, miałem za złe poecie nagromadzenie tylu wyrazów obcych.

Na zakończenie Malwinka wypowiedziała końcowy ustęp z satyry „Pijaństwo”: było to zawczasu obmyślane, dla przypodobania się pradziadkowi, który pijaków znieść nie mógł i najżywszy wstręt posiadał do trzech rzeczy: do wódki, tytoniu i... kapusty.

Tak i teraz, wysłuchawszy z zadowoleniem deklamacyi, odezwał się:

— Tak jest, tak jest, dobrze to powiedział jakiś znajomy mi poeta — nie wiem dobrze, Legatowicz, Pieńkiewicz czy Jurowski, a może Marcinkiewicz:

Wódka, tytoń i kapusta
Psują zdrowie, plamią usta.

Albo też inaczej:

Z tytóniu, kapusty, wódki,
Najgorsze dla zdrowia skutki.

A może tak lepiej:

Kapusta, wódka i fajka —
Zbójecka dla zdrowia szajka.

— Tak jest, tak jest, ciągnął starowina, małoż to ludzi zapiło się na śmierć? A od kapusty to przecie, nie z czego innego, umarł marszałek Rdułtowski. Od fajki zaś, której prawie z ust nie wypuszczał, zwaryował Jankowski, tak że mu się ciągle zdawało, iż jest młynarzem i jeździł po całej Litwie brać w dzierżawę młyny. A i zając zdrowiu szkodzi, dlatego że lubi kapustę. Mądrzy są kacapi, którzy zajęcy nie jadają. To trucizna, tak jest, prawda Róziulu?

— Niezawodnie, Fruciu, ale *nie irytuj się*...

Egzamin skończył się dosyć dla nas pomyślnie. Zasiedliśmy wkrótce do obiadu, wysłuchawszy naprzód modlitwy, głośno przez pradziadka odmówionej, do której każdy z obecnych dorzucił swoje *amen*. Taki był wtedy zwyczaj powszechny. Z powodu niezdrowych czasów, obiad był bardzo skromny, a po zupie pradziadek, pomimo swego wstrętu do spirytualiów, łyknął kilka kropel owego

spirytusu na pieprz nalanego i zmusił wszystkich swych gości, nas dzieci nie wyłączając, do przełknięcia odrobiny tego anticholerycznego lekarstwa, notabene ze wspólnego dla wszystkich drewnianego kieliszka, z drzewa leczniczego, zwanego *lignum quassiae*, które nadawało smak gorzki nalanemu do kieliszka płynowi. Z powodu tejże cholery, owoców na wety nie było; natomiast, jako dla miłych i rzadkich gości, wystąpiło kilka rodzajów konfitur. Były tu więc smażone w cukrze listki róży, orzechy w miodzie, konfitury z korzeni *ajeru* (tataraku), z jarzębiny, a nawet znane wtedy w wielu domach na Litwie *konfitury żydowskie*, z marchwi, z migdałów i z mąki, z miodem, a podobno i z pieprzem.

Do obiadu usługiwał znany nam wyrostek i podlotek dziewczyna: oboje ubrani biało z czerwonem (kolory herbowe pradziadka). Zadziwiło nas i rozśmieszyło, gdyśmy usłyszeli, że pradziadek wołał na chłopaka *Ciorło*, a dziewuchę nazywał *Kumpią*. Wyrazy to prowincyonalne litewskie: pierwszy oznacza naczynie, zwane inaczej *makotrą*, drugi — pośledniejszy gatunek szynki. Dowiedzieliśmy się później, że cała służba pradziadka miała sobie nadane podobne przezwiska, które każdy uważał za pieszczotliwe, pomimo że znaczna ilość tych wyrażeń była gminną, niezbyt delikatnego znaczenia.

Brat mój spisał cały rejestr tych używanych różnemi czasy przez pradziadka przydomków. Oto są: Łantuch (1), Kindziuk (2), Połeć, Pranik (3), Kaczałka (4), Obertuch (5), Kurnoska (6), Zaika (7), Dziuba (8), Huhniwka (9), Murzia (10), Flejtuchszka (11), Szepietliwy (12), Sołopiaka (13), Pólgęsek, Kołdun, Szałtanos (14), Kosołap (15), Oładka (16), Rażka (17), Rozkiraka (18), Piewień (19), Murłyka (20) i t. d. Dla znających prowincyonalizmy litewskie i mowę białorusińską wyrazy te będą dostatecznie zrozumiałe (*).

Przezwiska te, przyjmowane przez służbę z uśmiechem, były zawsze oznaką dobrego humoru pradziadka; będąc zaś w złym humorze, nazywał każdego po imieniu. Powiadają, że staruszek nadawał te przydomki nietylko sługom, ale każdemu jeżeli tylko mógł wynaleźć trafne dla kogoś przezwisko.

W czasie obiadu pradziadek, na wszystko zważający, i pomimo wieku, posiadający bystre oko, pochwalił nas, że siedzieliśmy prosto, trzymaliśmy łyżkę i widelec nie w garści, lecz trzema palcami, że obchodziliśmy się bez serwetek i „nie siorbali": litewskie to wyrażenie oznacza hałaśliwy sposób spożywania zupy, połączony z głośnem mlaskaniem, właściwy szlachcie naszej nawet w wieku dojrzałym.

Przed samym już deserem pradziadek raptem zaśpiewał:

„Panna, panna, panna Murzia, Murzia, Murzia..."

Widząc zaś nasze podziwienie, uśmiechnął się i dał następujące objaśnienie.

— Tak jest, ś. p. ojciec mój (daj mu, Panie królestwo niebieskie) kazał mi niegdyś w dzieciństwie zawsze tak śpiewać, gdy która z moich siostrzyczek była niedobrze umytą... No tu jest teraz panienka dosyć czysta, tylko koło lewego uszka coś czarnego, może to muszka usiadła...

Biedna Malwinka zarumieniła się na te słowa i dobywszy chusteczki, starła ową muszkę.

Przy stole oprócz nas siedziało jeszcze dwoje domowników: pan Sylwester i panna Scholastyka. Pan Sylwester był to mężczyzna wysokiego wzrostu, brunet z czarnym wąsem, wyglądający marsowato i po wojskowemu; podobno też służył kiedyś w wojsku, a obecnie był rządcą i zarazem ekonomem u pradziadka; nazywał się Dobrodziejewski.

Panna Scholastyka, osoba niemłoda, zawsze podwiązana białą chusteczką, ubrana czarno, zwróciła naszą uwagę najpierwiej tem że żółtawe jej włosy, gładko nad czołem zaczesane, barwą nie różniły się prawie niczem od koloru twarzy, ozdobionej zresztą bardzo foremnym noskiem i parą szarych przenikliwych oczu.

Była to, jak wówczas mówiono na Litwie, „panna" to jest i ochmistrzyni i szwaczka i towarzyszka pani.

Po obiedzie i odmówieniu modlitwy dziękczynnej, pradziadek musiał pójść zdrzemnąć się trochę. Matka nasza pozostała z panią Róziulą, która drzemki nie używała, a nam było zalecone użyć pokojowej huśtawki. Woleliśmy jednak wyjść dla obejrzenia podwórza i ogrodu, pod opieką pana Sylwestra, który miał dziś więcej czasu, z powodu jakiegoś święta ruskiego.

— Dziś był obiad pana Sędziego, a herbata będzie pani Sędziny, z wyjątkiem cukru, którego musi dostarczyć pan Sędzia, rzekł p. Sylwester, gdyśmy wyszli na podwórze, a widząc, że nie rozumiemy, dodał:

— Bo to trzeba paniczom wiedzieć, że staruszkowie, ot prosto dla zabawy i potroszę zdziecinniawszy, podzielili sobie wszystko na *moje* i *twoje*. Dochód z obory, drobiu i ogrodów należy do pani, ze sprzedaży zaś siana i zboża — do pana. Pan prowadzi rachunki, ażeby oboje zarówno wydawali na utrzymanie domu. Powtarzam, to zabawa, bo skąpić nie ma dla kogo: młody pan Emanuel, synowiec pański, i tak będzie miał dosyć...

W podwórzu i w budynkach gospodarskich nie było tak dalece nic do widzenia, oprócz pary bardzo tłustych koni, rzadko używanych i staroświeckiego żółtego kocza. Z ogrodu prześliczny był widok: w dole naokoło las, a pod lasem w obie strony ciągnące się dwa długie szeregi chat włościańskich, a wszystkie z kominami, połączone rzeczułką, nad którą wznosił się czerwono malowany wiatrak.

— Ot, Korotkinów ładna wioska, prawił p. Sylwester, jakby zrzędząc (miał bowiem szczególny jakiś sposób mówienia, wyrzucając z pewną raptownością i jakby opryskliwie, po kilka wyrazów lub po jednem zdaniu, z pauzami po każdem), ładna wioska sto chat... A wiecież wy do kogo należała lat temu z sześćdziesiąt? Do podstolego Dobrodziejewskiego, moi panowie, do mojego dziadka. He, he, fortuna kołem się toczy... Później połowa Korotkinowa należała do rodzonego waszego dziadka, moi panicze, do pana Tomasza, którego, i ja jeszcze zapamiętam. A potem podstoli umarł, przyszła eksdywizya i ot pan Fruktus dorobił się fortuny... Ale to długie dzieje...

W ogrodzie znaleźliśmy ulice starannie utrzymane, parę altanek z cyfrą nietylko już pana, ale także i pani, a zresztą było tu jakoś cicho i smutno.

Kilka drzewek z dojrzałemi i dojrzewającemi owocami pradziadek kazał ogrodzić dosyć szeroko wysokiemi i ostremi sztachetami, ażeby nikt nie poważył się dotknąć ani nawet przystąpić do tak szkodliwej w czasie cholery trucizny. Pobiegaliśmy tu trochę, oganiając się rojom komarów, a następnie zeszliśmy na dół do poblizkiego lasu, na orzechy, które w czasie cholery były, jak twierdził p. Sylwester, dozwolone w umiarkowanej ilości.

— Dobry to pan, prawił nasz przewodnik, takich już dziś mało. Wszystkim oficyalistom i sługom płaci większe pensye niż gdzieindziej i daje większą ordynaryą, ale stawia otwarcie dwa warunki: *nie upijać się i nie kraść;* jedno i drugie karze niemiłosiernie natychmiastowem wydaleniem. Tym sposobem pijaństwo i kradzież u nas zniknęły, chociaż pan stary i jakby zdziecinniały. Chłopom także zmniejszył pańszczyznę o dwa dni, pod temi samemi warunkami; kto upije się lub ukradnie, musi robić o jeden dzień więcej, ale i tak u nas robią mniej niż gdziekolwiek w sąsiedztwie. Tym, którzy nie sadzą kapusty, poczciwy pan Sędzia odpuszcza jeszcze dzień jeden, a choć to pańskie dziwactwo, ale nieszkodliwe, bo bez kapusty wyżyć można i niejeden dla przypodobania się panu jej zaniechał i dobrze mu z tem. Widzicie, że chaty nasze wszystkie z kominami; każdy chłopek ma najmniej parę koni, a niektórzy po cztery. Stary pan zna wszystkich swoich włościan, wie kiedy ktory z nich się urodził, ba! nawet i ojciec i dziadek każdego, pamięta o dziewuchach i dzieciach, daje gościńce, wyprawia wesela i huczne dożynki. Przykazuje, ażeby, dzieci chodziły czysto, a nawet płaci coś organiście z miasteczka (o wiorstę tuż za lasem), ażeby uczył czytać i pisać dzieciaków; więcej nad to nauki, prawi p. Sędzia, dla nich nie potrzeba. Kochają go też poddani i modlą się o przedłużenie życia staruszkom, bo to niewiadomo, jak będzie za p. Emanuela. Dobry to i on niby, ale jakoś taki milczący, że go nie łatwo poznasz i zrozumiesz...

— Ot, przez dobroć swoją, pan nasz niedawno miał wielką stratę. Było to w zimie, przed nowym rokiem; mróz trzymał ostry i w nocy powstała zawieja. Dwóch było, jak zwykle, wartowników w podwórzu, ale pan pożałował ich i staremu Lawonowi kazał iść do domu, a Kondratowi kazał przysłać na swoje miejsce Pawluka. Ale jakoś nieprędko Pawluk przyszedł; tymczasem zaś złodzieje wyjęli okno w sypialni pańskiej i wynieśli okutą szkatułkę z pieniędzmi, prawie z przed nosa panu, który podobno jeszcze nie spał, ale bał się nawet krzyknąć i udawał śpiącego, ażeby go przynajmniej nie zabili. Pokazało się później, że złodziejem był żyd Hessel z Uzdy, a musiało tam być sporo w szkatule srebra i złota (papierków pan nasz nie przyjmuje i na nich się nie zna), bo Hessel gdzieś przepadł, jak kamień w wodę, porzuciwszy dom swój, żonę i dzieci. Pan zląkł się mocno, ale nie irytował się bardzo, żeby zdrowia sobie nie psuć, a jeżeli wspomina o tej kradzieży, to tylko żartobliwie. Eh, mądry to staruszek, bo cóżby to była za korzyść, gdyby straciwszy pieniądze (a mały mu

(*) Dla nieświadomych podaję tu wyjaśnienia mniej zrozumiałych z tych wyrazów. (1) = wańtuch, oznacza kogoś tłustego i wysokiego, (2) = jedna z postaci wędliny, (3) = drewniane narzędzie do wybijania bielizny przy praniu, (4) = maglownica, która wraz z wałkiem, stanowiła podręczny przyrząd, zastępujący magiel, (5) = żarłok i próżniak, zapewne z niemieckiego, (6) = posiadający nos okrągły i zbyt krótki, (7) = zająkliwy, (8) = mający nos śpiczasty, podobny do dzioba (*do dziuby* po litewsku), (9) = niewyraźnie mówiący, (10) = morus, (11) = niedbały w ubiorze, (12) = mówiący pieszczotliwie, (13) = pokazujący zęby przy mówieniu, (14) = pierogi z serem, (15) = krzywonogi, (16) = potrawa litewska z ciasta, (17) = naczynie (szaflik), (18) = zbyt szeroko rozstawiający nogi, (19) po białorus. = kogut, (20) białoruski przydomek kota.

z nich pożytek) stracił jeszcze ze zgryzoty i życie? Szkatułę od tego czasu dał mnie do przechowania i kazał zrobić kratę w oknie mojego pokoju; ja zaś mam nadto pałasz i dubeltówkę i złodziei niebardzo się boję.

— A czy panu pradziadek daje jakie przezwisko? zapytał Oleś.

— A jakże, mruknął p. Sylwester, nazywa mnie czasem Hładyszem albo Harłaczem (*) dlatego, że jestem taki czarny. Panna Scholastyka nosi przezwisko Talki bo wygląda niby talka (**) szarych nici. Pyzaty karbowy Ignacy nazywa się Lewar, a biała i piegowata kucharka Dominika ma przydomek Maca.

(D. c. n.)

(*) *Hładysz* albo *harłacz* (garłacz) — duże naczynie do mleka, z gliny czarnej, w kształcie dzbana, ale bez ucha.

(**) Spleciony motek przędzy.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Maja 1882 r.

W przeszłej korespondencyi naszej mówiliśmy o kapeluszach, wywiezionych z Paryża przez panie Kuhnke, dziś powiedzmy o sukniach i okrywkach. Nim przystąpimy do ich opisu, musimy wprzód skreślić ogólną charakterystykę dzisiejszej mody. Otóż moda krótkich sukien, przyjęła się stanowczo: do bardzo strojnych tylko dodają osobne powłoki, przytwierdzające się w tyle u stanika. Suknia powinna zaledwie dotykać ziemi; robią je nawet krótsze. Tylne bryty bywają zwykle nafałdowane, ztąd użycie turniur stało się dziś koniecznem. Turniury te naszyte stalkami przytwierdzają się pod spód, do białych perkalowych spódniczek, u których tył nagarnirowany bywa falbankami, dla tem lepszego odsadzenia sukni.

Jeśli suknia zrobiona z cięższego materyału, wtedy spódniczka u niej powinna być gładka, u dołu tylko ozdobiona riuszą lub wązkiemi falbankami; jeśli materyał lekki, wówczas spódniczka ułożona bywa cała w podłużne plisy, albo też przemarszczona, u dołu zawsze zakończona garnirunkiem. Staniki najmodniejsze *Louis XV* czyli tak zwane *à panier*, z draperyą odwróconą do tyłu od boków. Niektóre robią także z podwójną baskiną. Tył stanika tworzy karoczko, lub też przybrany wielką kokardą, z niezbyt długiemi końcami. Rękawy do tego płaskie, mało ubierane, albo tak zwane angielskie, lekko namarszczone w ramieniu.

Do nowości tegorocznych należą żakietki odmienne od spódnicy, naprzykład do spódniczki błękitnej *(bleu paon)* może iść żakietka błękitna w paski lub deseń koloru wiśniowego, do spódniczki wydrowej, żakietka także w złote paski i t. p. noszą też żakietki z adamaszku czarnego i aksamitu wyciskanego w deseń.

Do ozdoby letnich sukien wielką nowość stanowią koronki z szarych dość grubych nici zwane *ficelle* czyli szpagatowe, używają tu na to haftów angielskich na szarym płótnie. Strojniejsze suknie zdobią dżetem i blądyną hiszpańską.

Po tych ogólnych uwagach, przejdźmy teraz do gotowych sukien. Oprócz form z muszlinu i papieru nabytych na model, panie Kuhnke w jednym z pierwszych magazynów tutejszych wybrały dwie piękne suknie, które wyprawiły ztąd prosto na Ukrainę, dla dopełnienia wyprawy, robionej w Warszawie w ich domu.

Pierwszy kostium wizytowy bardzo strojny składał się z czarnego atłasu *(satin merveilleux)* i z adamaszku, przerabianego w różowe kwiaty, i suche liście *(feuilles mortes)*. Spódniczka czarna, cała marszczona w podłuż, zakończona była u dołu koronką szarą ficelle, wązką na trzy palce, położoną na różowem plisowaniu. Nad tem szła riusza czarna podszyta różowym atłasem. Do tego żakiet z adamaszku w kwiaty, ogarnirowany był koronką, szarą, na plisowanej falbanie różowej. Z pod rozchodzących się przodów, wyglądał różowy plastron, pokryty namarszczoną koronką, ozdobiony różowemi puklami. Od karczka spadały na tył pukle pomieszane z koronką. W tyle spódniczki ułożony był puf z czarnego atłasu, z podbiciem różowem, wyglądającem z brzegów. Do tego kostiumu zastosowana kapotka z szarej koronki, przybrana długiem piórem różowem, szarfy jej koronkowe spinały się na różę.

Druga suknia do częstego użycia, złożoną była z ciemno wiśniowego fularu gładkiego, i z takiegoż fularu w rzut z kwiatów kapryfolii. Spódniczka gładka, miała u dołu ośm wązkich falbanek; jedne z nich gładkie plisowane, drugie marszczone w deseń, dawane były na przemiany.

Stanik z fularu w kwiaty *(a panier)*, miał u dołu odwiniętą do boków draperyą, połączoną w tyle ogromną kokardą, z całej szerokości fularu. W górze stanika szło wyłożenie z gładkiego fularu wiśniowego. Riusza koronkowa w odcieniu *créme*, spięta na pukle ze wstążki blado różowej i wiśniowej dana u szyi i mankietów, ładnie odpowiadała całości. Kapelusik do tego słomkowy, w formie neapolitanki, zachodzący na czoło, podszyty wiśniowym *surrah*, ozdobiony był na boku wielkim bukietem kapryfolii.

Oprócz tych dwóch sukien, posłany był jeszcze piękny ubiór negliżowy, z cienkiego kaszmiru indyjskiego, w ciemno-szafirowym kolorze. Negliż też w formie *princesse*, z gładkim przodem, spinał się z boku na niewidzialne guziki. Przepasany był w stanie grubym sznurem jedwabnym z bogatemi kwastami. U doły szły dwa rzędy szpagatowej koronki, na różowej plisowanej falbanie. Wielki kołnierz z koronki szpagatowej spięty u szyi na różowe pukle, i takież mankiety dopełniały ubrania. Dodajmy jeszcze do tego śliczny czepeczek, złożony z dwóch rzędów szarej koronki, połączonych z lewego boku gniazdkiem z wązkich różowych wstążeczek.

Opiszemy tu jeszcze bardzo ładną suknię letnią zakupioną na model, złożoną z *satinetty* gładkiej czarnej, i drugiej w bukiety pąsowe z suchymi liśćmi na tle czarnem. Spódniczka gładka, miała u dołu falbankę ułożoną w kontrafałdy, nad tą szła także buffa, pokryta falbaną haftowaną z szarego batystu, wyżej dwie buffy z satinetty w deseń, a wyżej jeszcze dwie czarne gładkie buffy. Stanik do tego w kwiaty z bawetem, *a panier*, podwójna draperya rozchodząca się od przodu do boków, ogarnirowana była dwoma haftowanemi falbankami z szarego batystu. Takiż haft ciągnął się wzdłuż stanika i otaczał szyję, równie jak brzeg rękawów. Tył spódniczki z satinetty w deseń, rzęsisto nafałdowany, mocno odstawał, podłożony turniurą.

Dodajmy nakoniec słowo o pięknych okrywkach letnich, nabytych na magazyn. Wszystkie w ogólności mają formę wizytek; różnią się tylko rozmiarem i ozdobami. Kaszmirowe przybierają zwykle pasmanteryą z dżetem i frendzlą, jedwabne garnirują rzęsisto blądyną hiszpańską. Wszystkie zdobią kokardami z wstążki atłasowej albo morowej. Oto opis kilku okrywek.

Wizytka z czarnego atłasu *Rhadames*, zwana *Athalia*, z peleryną podniesioną w tyle, upiętą do figury. W koło idzie garnirunek z blądyny hiszpańskiej, kokardy z morowej wstążki dopełniają ozdoby.

Druga okrywka zwana *Beatrice* z ciężkiego atłasu *merveilleux*, ogarnirowana potrójnym rzędem blądyny hiszpańskiej, i pasmanteryą; z przodu końce przedłużone, ścięte czworograniasto. U szyi dana bogata riusza blądynowa, spięta na pukle ze wstążki morowej.

Trzecia wizytka *Mandarine*, z atłasu *Rhadames*, ma plecy przymarszczane z blądyny hiszpańskiej, w koło idą dwa szerokie blądynowe wolanty. Riusza blądynowa u szyi i ozdoby z pasmanteryi przerabianej dżetem dopełniają przybrania.

Pomijamy różne mantyle dla młodszych i starszych osób, z blądyny, kaszmiru lub atłasu, powiemy tylko że wszystkie odznaczają się wybornym krojem.

Uważaliśmy także bardzo praktyczne wełniane płaszcze, z tkaniny nieprzemakalnej, zwane *souffre-tout*. Jedne z nich w kolorze szafirowo zielonkowatym *bleu paon*, drugie w odcieniu jasno brązowym, czyli przyczernionego złota; inne znów ciemno popielate w wązkie pąsowe prążki i t. d.

Patrząc na te ogromne pudło kwiatów, na te sztuki koronek szarych, śmietankowych, białych, na te różnobarwne pióra i wstążki, na te pasmanterye przetykane dżetem, na te wreszcie sztuki satinet, fularów i innych tkanin letnich, przenosiliśmy się myślą do ogrodu Saskiego, lub na plac wyścigów konnych, gdzie te wszystkie przedmioty, podniesione artystycznym smakiem, w harmonijnem ich połączeniu świecić będą wkrótce pod jasnym promieniem czerwcowego słońca!

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** **Zdroje lecznice w Krzeszowicach.** Pośpieszamy z prawdziwą przyjemnością z udzieleniem ważnej wiadomości, iż zdroje lecznicze w Krzeszowicach, znane już dobrze z uzdrawiających swych własności, wzięte zostały w długoletnią dzierżawę przez doktorów tutejszych pp. Ludwika Kadlera i Henryka Stankiewicza. Jest to miejscowość położona o trzy mile od Krakowa w dawnym okręgu przed wcieleniem go do Galicyi, przy linii kolei żelaznej prowadzącej z Warszawy do starego Piastów grodu. Podróż zatem niezmiernie ułatwiona, co stanowi rzecz niezmiernie ważną, szczególniej dla osób szukających dla zdrowia pomocy. Zdroje Krzeszowickie posiadają wody siarczane, w tym samym rodzaju jak Busk, Solec i Akwisgran, który w sile leczniczej znacznie jest słabszy od naszych wód krajowych. Zdroje w Krzeszowicach znane były od lat bardzo dawnych, a o wpływie ich zbawiennym pierwsze wzmianki znajdujemy w kronikach w początkach roku 1625. Dopiero jednak w roku 1871 magister farmacyi

p. Aleksandrowicz, ścisłym rozbiorem chemicznym wykazał naukowo zbawienne ich własności, skutkiem czego urządzono łazienki odpowiednio do wymagań nauki, z ogrzewaniem wody za pomocą pary do takiej tylko temperatury, żeby części jej składowe nie ulegały rozkładowi i tém samem nie traciły na swej mocy uzdrawiającej. Od tego czasu zdroje w Krzeszowicach zaczęły coraz liczniej być zwiedzane, i nie ma wątpliwości że wkrótce staną na właściwem stanowisku swojej użyteczności.

Używanie wód ich zalecane jest: w reumatyzmach, skrofułach, podagrze, chorobie angielskiej, newralgiach, paraliżach, hemorojdach, katarach chronicznych nosa, krtani i skrzel, zatruciach metalicznych, chorobach macicy, skóry i syfilis.

Położone w prześlicznej okolicy, wśród pięknych gajów i lesistych wzgórzy, w pobliżu ruin zamku Tęczyńskich, wsi Czarny z kościołem Karmelitów, Dębnika z kopalniami marmuru, Dubia z pstrągarnią, doliny Zabierzowskiej, otoczonej skałami, osady Alwerni, wsi Poręby, malowniczych ruin zamku Lipowieckiego, wreszcie o dwie mile znajdującego się Ojcowa i Pieskowej Skały, Krzeszowice posiadają wszelkie warunki uprzyjemnienia w nich dla leczących się pobytu.

Oprócz kościoła, stacyi kolei żelaznej i telegraficznej, poczty, apteki zaopatrywanej we wszystkie rodzaje wód mineralnych, w Krzeszowicach znajduje się hotel ze wszelkiemi wygodami, kilka restauracyi, pomieszkania prywatne, a obecnie ma być urządzony rodzaj pensyonatu, w którym chory za opłatą 3 do 5 rubli dziennie może mieć wszelkie wygody zapewnione ze zdrowem a nawet z wykwintnem pożywieniem.

*** Podwójny prąd objawia się obecnie w czasopismach pruskich, jedne prawią nam czułostkowe grzeczności, inne miotają najniecniejsze potwarze i obelgi: do ostatnich należy znana z niesumienności i polakożerstwa *Posener Zeitung*. Nic poprzestając na fałszywem przedstawianiu i rozmyślnem przekręcaniu współczesnego położenia Polaków w W. Ks. Poznańskiem, owej „deutsche Prowinz Posen", potwarczym jadem orzuca przeszłość naszą a mianowicie społeczeństwo XVIII wieku. Ciskając gromy na ten okres dziejów naszych, twierdzi że społeczeństwo polskie doszło wtedy do ostatecznego „złajdaczenia" (Verlumpung). Ale tym razem „trafiła kosa na kamień: *Gazeta Polska* postanowiła dać „Posener Ztng" lekcyą historyi XVIII stulecia w kwestyi odnoszącej się do Prus i do Polski, zadać kłam jej dowodzeniom, oraz wykazując prawdziwe znaczenie niemieckiego wyrazu „Verlumpung", udowodnić faktami i dowodami historycznemi, do kogo to właściwie zastosować je należy. Podajemy w krótkości treść tych artykułów w naszej „Gazecie Polskiej" drukowanych w numerze 80—81 i 83.

„Ktokolwiek, powiada taż Gazeta, bada nowszy ruch naukowy na polu historycznem, przyznać musi że nikt surowiej od samych Polaków nie sądzi epoki Saskiej i Stanisławowskiej. Przodkowie nasi zawinili wielce, jednakże ciężkie ich grzechy własnym tylko zaszkodziły potomkom, żadnej obcym nie przynosząc krzywdy: własne też tylko pokolenia potępiać ich miałyby prawo za zaniedbanie obowiązków względem przyszłości dzieci i wnuków, przebaczają im jednak ze względu że nie dopuścili się nic takiego zacoby te dzieci i wnuki przed obcymi rumienić się musiały. Widocznie więc polakożercza „Pozenerka" chyba nie rozumie znaczenia właściwego wyrazu jakiemi się posługuje, ani też stosunków polsko-pruskich w XVIII wieku, skoro oskarża ówczesne społeczeństwo nasze o haniebną nędzę moralną. Według pierwszorzędnych powag niemieckich „Verlumpung" oznacza najzupełniejsze sponiewieranie głównych zasad honoru i uczciwości, sromotną zdradę, fałsz, oszukaństwo, rabunek, barbarzyński gwałt, niecne fałszerstwo, słowem cały szereg niegodziwości poniżających w człowieku jego naturę ludzką, a w narodzie społeczną jego dostojność. Otóż ani w wieku XVIII ani nigdy przedtem, Polacy nie dopuścili się żadnej podobnej zbrodni względem nikogo. Zobaczmy jaki wyrok wydaje w tej sprawie historya, do której zajrzéć każe dziennik niemiecki. Niegdyś nikt nic nie słyszał o „deutsche prowinz Posen" ale wiedział każdy że Poznań był kolebką historyi potężnego narodu, zajmującego wysokie stanowisko w dziejach świata, wówczas gdy Prussy tworzyły tylko cząstkę państwa polskiego. Tu przypomina G. P. ów dzień sławny w dziejach, który dziś mistrz nasz Matejko uwiecznił na płótnie gdy Albert książę pruski klęcząc na rynku krakowskim, przed Bogiem i przed ludźmi przysiągł wierność lenniczą królowi polskiemu, a następnie, zamiast być mu wiernym, zmawiał się ciągle podstępnie z jego nieprzyjaciółmi. W. 130 lat później po owej przysiędze, zwolniony został traktatem welawskim od lennego poddaństwa. Oto dwa pierwsze kroki dążące do zagarnięcia „niemieckiej poznańskiej prowincyi" z pomocą krzywoprzysięztwa i zdrady.

W powoływanym się przez „Posen. Ztng." wieku XVIII-m dawny lennik sięgnął po koronę, a traktatem wiedeńskim cesarz Leopold mianował „kurfirszta Fryderyka" królem polskim. Rzeczpospolita tytułu tego nie zatwierdziła; Fryderyk złożył deklaracyą, że mocą tytułu króla pruskiego nie chce uchybiać Polsce prawa do Prus mającej. Dalej rozkazał posłowi swemu w Warszawie oznajmić, iż oburzony jest wieściami tak niezgodnemi z jego sposobem myślenia, jakoby zamierzał przywłaszczyć sobie którąś z prowincyi polskich, i przeciwnie pragnie i nadal pracować nad zachowaniem całości krajów Rzeczypospolitej. Toż samo przyrzeka święcie w liście z d. 24 lipca do prymasa Łubieńskiego Fryderyk Wielki, oznajmiając gorące podziękowanie Polakom za przyznanie mu nareszcie tytułu króla, zapewniając zarazem o uczuciach swoich i szacunku „jaki żywił zawsze dla polskiego narodu". Tu, z historyą w ręku, G. Pol. wylicza jak nie dalej jak w sześć lat potem przysięgi te spełnione, oświadczenia przywiązania i szacunku udowodnione zostały. Fryderyk nasłał na kraj nasz żołdactwo, kazał więzić dostojników narodowych, nakładał samowolnie na miasto ciężkie kontrybucye, puszczał w kurs fałszywą monetę że stemplem polskim, włościan polskich przemocą brał w rekruty; kazał porwać i uprowadzić z kraju do 7000 dziewcząt dla zaludnienia Pomorza, zmuszając je do zaślubiania cudzoziemców innej wiary i obcego języka... Nie jestże to wszystko niewyczerpanem źródłem „Verlumpung"?

„Dalej G. P. odsyła „Pozenerkę" do „Reflexyi Fryderyka" nad planem rozbioru Polski, z daty 25 grudnia 1771 r., w których zbijając wszelkie przeciwne zdania i skrypuły dworów, twierdzi że trzeba dokonać go przed końcem wojny Rossyi z Turcyą, gdyż później narobiłoby to dużo hałasu. Obawia się także krzyku Turków i opozycyi dworu wiedeńskiego. Jak pogwałcił święte i niewzruszone, jak sam się wyrażał, przyrzeczenia i obowiązek zaległej wdzięcznosci należnej Polsce i zdeptał prawa moralne, tak samo nie uszanował konwencyi zawartych z Austryą i Rossyą, zajmując prowincye polskie wcale niemi nie objęte. Napróżno delegacya wyznaczona do zatwierdzenia układów odwoływała się do poczucia sprawiedliwości. „Verlumpung" nie zna co sprawiedliwość, napróżno chciano poskromić rozhukanego zaborcę przedstawieniem jego nadużyć innym uczestnikom konwencyi—„Verlumpung" nie ustępuje najświętszym prawom i domaganiom jeźli nie są poparte bagnetami. Wojska pruskie posuwały się coraz dalej,—po zaborze otwartym nastąpił rabunek skryty, przeciw któremu nareszcie uznali stosownem wystąpić posłowie Stackelberg i Rewitzki. Na dowód jak przyjmowała ludność wcielonych do Prus prowincyi swoje zjednoczenie z „prastarą niemiecką ojcyzną" niech „Pozenerka" przekona się z odezw i podań wnoszonych przez nią do komisarzy pruskich a nawet i do tronu. I tak dwa miasta „auch echt deutschen" Toruń i Gdańsk wszelki możliwy stawiały opór. W podaniu do Fryderyka, magistrat toruński przejęty głębokiem uozuciem najwyższej niedoli, błaga go i zaklina, aby przez litość nie przyłączał miasta i posiadłości jego do swego państwa, pod dniem z 19 grudnia 1772 r. Do komisarzy pruskich tenże magistrat pisał, że „przy całem poszanowaniu jakie ma dla króla pruskiego „przysięga i obowiązek" nie pozwalają mu przyjmować udziału w tej robocie (odezwa z d. 29 grudnia 1772 r.) Energiczniej jeszcze postąpiło sobie niby prastare niemieckie miasto Gdańsk. Senat i ławnicy gdańscy, wiedząc że żadne z mocarstw nie stawia opozycyi, nie mając na co liczyć postanowili uznać zwierzchnictwo króla pruskiego, lecz przedstawiciele całej gminy ani słyszéć o tem nie chcieli i zawiadomili o tem giełdę kupiecką i cechy, i te zgromadziwszy się w miejscach publicznych, krzyczały głośno, że wolą aby je zagrzebano pod gruzami miasta niż zezwolić na żądane zwierzchnictwo. Gmina groziła śmiercią każdemu ktoby chciał działać w przeciwnym duchu, nadto odgrażała się na komisarza i rezydenta pruskiego, gdyby go gdzie przydybano na ulicy. A wszystko to podaje, mówi Gaz. Pol. nie patryota polski ale rodowity Prusak (Por. Smitt. „Materyały" t. II.)

Sąd naszej historyi skazał na wieczną hańbę delegacyą warszawską,—ale Prusakowi i tymi nawet, w przeważnej liczbie, wyrzutkami społeczeństwa polskiego, gardzić nie wolno, bo mianowana była pod przodków jego niecnym wpływem, grozą i przemocą, czego dowodzi samo odezwanie się posła pruskiego w końcu września 1773 r. że „jeźli sejm nie będzie mu posłuszny, rozkaże jenerałowi Leutulosowi aby sześciu ludzi pochwycił za łeb, a spodziewa się że reszta wtedy nabędzie rozumu." Najgorsi, najwystępniejsi u nas ludzie protestowali gorąco przeciw pruskim bezprawiom... Nigdy wprawdzie więcej, jak w owym czasie nie objawił się w społeczeństwie naszem tak powszechny brak patryotyzmu, tak wielki upadek cnoty publicznej, jednakże między lekkomyślnem zaniedbaniem swych powinności, a złą wolą, złą wiarą i przewrotnem okrucieństwem pruskiem, między szkodzeniem sobie a czychaniem na cudzą zgubę z pomocą przeniewierstwa, zdrady i gwałtu, wielka zachodzi różnica, a następne pokolenia dały społeczeństwu naszemu w tej epoce świadectwo najmocniej przemawiające na jego obronę, składając już od początku bieżącego wieku, dobrowolnie i chętnie ofiary na ołtarzu powszechnego dobra.

Dziś chyba już „Posener Ztng." nie zarzuci Po-

lakom że zamało kraj swój kochają, że obojętni są na jego sprawy. „Zgałganienie" które autorowi Gaz. Pozn. tak bardzo rzuciło się w oczy, musiało niezawodnie tkwić w innych całkiem elementach owej niby „niemieckiej prowincyi poznańskiej". Poszukawszy dłużej zrozumie on lepiej to ciekawe dla siebie zjawisko. Kto „rzeczywiście zgałganiał" ten już uzacnić się niezdolny, nietylko w niedoli ale i w najświetniejszej pomyślności, nietylko w ucisku ale na najwyższym stopniu potęgi materyalnej, choćby posiadał miliony wojska i zarabiał lub zabierał miliardy... Tradycye te „Verlumpung" trwają dotąd nieprzerwanie — przeszłość stała się teraźniejszością i stoi na porządku dziennym w Poznańskiem. Jak dawniej tak i obecnie siła pozbawiona wszelkich czynników moralnych, góruje wciąż nad prawem które jest tam martwą literą, na wzór dawniejszych przysiąg i traktatów. Owa niby „Die deutsche Provinz Posen" roi się od germanizatorów i rycerzy „kulturkampfu", jawnie podkopujących prawa zapewniające Polakom poszanowanie ich narodowości, języka i wiary; dzieło wynarodowienia i wywłaszczenia popierają najgoręcej pruscy urzędnicy i znakomitości ich parlamentarne. Bezprawia powtarzają się nieustannie w zmienionej tylko formie, pasmo krzywd snuje się dalej, ze świadomym i czynnym udziałem pruskiego społeczeństwa, w którem śpi snem martwym tak uczucie dla prawa pozytywnego jako też poczucie ludzkiej moralności i sprawiedliwości narodowej. Powtarzamy, tradycye „Verlumpung" nie zaginęły; owszem, wzrosła w germanizatorach żądza zagłady narodu polskiego. Nie poprzestając już na zawładnięciu ziemią i władzą nad ludnością polską, nie zadawalniając się wywłaszczeniem materyalnem, pragną skazić naszą przeszłość, wydrzeć krajowi imię polskie, ludziom nazwiska polskie, rzeczom nazwy polskie. Marne to jednak zabiegi! Trwają już od lat stu—a jakiż ich skutek? Cała zapamiętałość drapieżnej namiętności, nie przebierającej w środkach dojścia do zamierzonego celu, nie potrafiła dokazać aby owe niby „deutsche Provinz Posen", jak ją dziś lada pismak pruski nazywać się poważa, przestała być rzeczywiście polską prowincyą. Sto lat ucisku i wynarodowienia nie wydały owocu—a to właśnie dlatego że społeczeństwo nasze nie shańbiło się nigdy systematycznym fałszem, nie zaparło się sumienia, czci i uczciwości, słowem nie znikczemniało.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Edwardowi Ł. w Kielcach. Uwaga, że kto chce kiedyś dobrze pisać czyli z zachowaniem wszystkich prawideł obowiązujących w utworach literackich wszelkiego rodzaju, musi wprzódy źle pisać, czyli nie pamiętać o nich jak należy, jest bardzo słuszną i sprawiedliwą. Wierszyk nadesłany należy właśnie do tego rodzaju pracy początkowej, w której wiele jest chęci dobrych, pragnień poczciwych, ale i różnych uchybień nie brakuje.

Pani Ksawerze B. w Bliźnie. Sprawunki wszystkie we właściwym terminie wysłane zostały.

Panu Walentemu G. w Petersburgu. Jeżeli jest talent prawdziwy, ten nie zginie nigdy marnie i zawsze da poznać do czego zdolny. Piśmiennictwo peryodyczne jedynie dla zachęty lichych utworów drukować nie może. Zbyt wczesne pragnienie zostania sławnym pisarzem, wielką zawsze szkodę przynosi. Kto chce kiedyś dobrze pisać, powinien przedewszystkiem umieć dobrze myślić, szczegółowo poznać ojczystą literaturę, czytać wiele, studyować, a reszty dopełni czas i doświadczenie. Dawniej wszystka młodzież nasza garnęła się do roli lub służby publicznej pomijając zupełnie przemysł i handel: dziś wpadła w drugą ostateczność i każdy pragnie zostać literatem. Nie jest to bezwarunkowo nagannem, ale szkodliwem zarówno dla kraju jak młodzieży stan obierającej. Aby na literackim zawodzie opierać całą przyszłość i nie żałować później swego wyboru, trzeba zdolności bardzo wielkich i niemałego zapasu nauki. W szrankach pracy narodowej każdy zaszczytne znaleźć może miejsce, niekoniecznie z piórem w ręku jako literat. Uwagi te nie stosujemy do protegowanego, bo nie znamy pod tym względem jego przekonań. Wymknęły się nam mimowoli, patrząc jak literatów bez powodzenia coraz więcej przybywa a przemysł i handel w jednem zostają opuszczeniu. Dziwna rzecz że młódź nasza, pragnąca tak gwałtem być pozytywną, a na ideałach całą swą przyszłość opiera.

Panu Ł. B. Korespondencya poświęcona jest przedmiotowi, który żadnym sposobem publicznie nie może być traktowany. Przyczynę łatwo odgadnąć.

Panu Izydorowi K. w Babińcu. Uwagi odpowiednie dla małych awanturników pomieszczone będą w „Przyjacielu Dzieci". Zbyt ostro karcić ich nie można — wyrozumiałość, cierpliwość, miłość i rady rozumne, są jedynemi najzbawienniejszemi czynnikami pedagogii.

P. Wacławowi. Wierszyk ładny ale przedostatnia strofka bardzo drażliwa. Czyby niemożna jej złagodzić, czego jednak sam Autor dopełnić musi.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i duży arkusz z krojami

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 21 Апрѣля 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

Po śniadaniu miss Blake wyszła jak zwykle; nie mając żadnego zajęcia nie wiedziała jak czas zabić. Gwidon Cattacomb donosił jej iż najchętniej przybędzie odprawiać nabożeństwo w Foxwood, byle mu urządzono kaplicę lub kościół—otóż łamała sobie głowę jakby temu zaradzić, bo w Foxwood nie było drugiego kościoła, a prosić pastora Sumnor aby pozwolił odprawiać w swoim kościele nabożeństwo według nowego rytuału, wyszłoby to na jedno co zwrócić się z tem żądaniem do dziekana opactwa Westminster.

Rozmyślając nad sposobami zaradzenia tej trudności, miss Teresa wyszła za kratę i nie na lewo jak zwykle, ale na prawo ku wsi zwróciła swe kroki. Tu droga była daleko samotniejsza; z jednej strony ogradzała ją żelazna palisada i kępy drzew z Foxwood-Court, z drugiej wysoki płot a za nim gęsty lasek. Nieco po za płotem stały wysokie żelazne sztachety, których pręty tak były gęste i zbliżone z sobą, iż żadnemu włóczęgdze chyba na myśl by nie przysyło próbować wdrapać się przez nie do wnętrza. Naprzeciw tej wysokiej kraty, nieco oddalonej od drogi załamującej się w tem miejscu, wznosił się ładny domek z czerwonej cegły, z zielonemi żaluzyami, którego okna i skromny wiejski portyk opleciony był pnącemi się klematytami i kaprifolium. Domek ten, zwany *kotedż klematyt*, zbudowany był na krańcach Foxwood-Court, od którego oddzielała go tylko wązka uliczka prowadząca do stajen i innych zabudowań gospodarskich. Kratę żelazną stojącą naprzeciw niego, osłaniały prawie zupełnie po obu jej stronach rosnące drzewa, tak że można było niejednokrotnie przechodzić drogą i wcale jej nie dostrzedz. Ciekawa i bacznie rozglądająca się na wszystkie strony miss Blake, dawniej już zauważyła domek, dojrzała przeciwległą kratę i zaraz postawiła sobie pytanie: kto mieszka w domku i czy po za kratą nie kryje się jakieś pomieszkanie. Przechodząc teraz, zobaczyła stojącego przed kratą chłopaka, który trzymając ręce w kieszeni gwizdał na małego pieska, a ten włożywszy łapę między sztachety, zaledwie zdołał ją wyciągnąć. Obejrzawszy się uważnie na domek Klematyt, przeszła w poprzek drogę i zbliżyła się do chłopca, który zobaczywszy ją zdjął czapkę.

— Czy krata ta ogradza jakie pomieszkanie? zapytała.

— Tak, pani, odrzekł Tom Pepp, po za nią stoi Labirynt.

— Labirynt? powtórzyła z zadziwieniem miss Blake, czy chcesz powiedzieć mój chłopczyku, że po za kratą jest dom... taki w którym można mieszkać?

— A tak. Dawniej mieszkał w nim stary pan Throcton... Byli tacy co dowodzili że miał małego bzika.

— A dla czegóż nazywa się to Labiryntem?

— Bo jest to labirynt, odrzekł chłopak głaszcząc swego psa. Patrz pani na tę o to ścieżynkę ciągnącą się po za kratą i na drzewa rosnące po drugiej stronie.

Przez małe odstępy sztachet zajrzała do wnętrza i powiodła wzrokiem po drzewach rosnących po za ścieżką. Rozchodziły się w różnych kierunkach jak tylko dojrzeć mogła; drzewa były bardzo rozłożyste a między niemi rosły liściaste krzewy, poprzerzynane niezliczonemi ścieżynami.

— Widzi pani że jest to labirynt, rzekł znowu Tom Pepp, i od niego też dom powziął swe nazwisko. Gdybyś pani weszła między te drzewa nie posiadając tak zwanego klucza labiryntu, nigdybyś wyjść już ztamtąd nie zdołała. Dom mieszkalny stoi w środku w pośród dużego ogrodu; byłem tam parę razy jeszcze za życia pana Throcton.

— I idąc tam przeszedłeś przez labirynt? zapytała miss Blake.

— A juźci bo inaczej dojść tam niepodobna. Ale ja byłem tam z matką, która przyjaźniła się z gospodynią pana Throcton; służący przeprowadzał nas a następnie wyprowadzał.

— A gdzież prowadzi ta ścieżka? zapytała znowu wskazując ścieżynę ciągnącą się pomiędzy kratą a labiryntem.

— Kręci się i kręci coraz w inną stronę, odpowiedział chłopiec. Powiadają że tam gdzieś w głębi są drzwi prowadzące wprost do domu, ale nikt prócz wiedzących gdzie są nigdy do nich nie trafi.

— Co za szczególniejsza miejscowość! zawołała miss Blake, nadzwyczaj zaciekawiona; możnaby przysiądz że chyba ukrywają się w niej kontrabandziści... lub inni im podobni.

Chłopiec podniósł na miss Blake rozumne swoje oczy; wprawdzie nie zrozumiał dobrze znaczenia nazwy *kontrabandziści*, zrozumiał jednak że nie można jej było stosować do pana Throcton.

— Pan Throcton, rzekł, był to bogaty gentlemen który zawsze tam mieszkał, nie zrobił on nigdy nic złego... tylko mówiono że miał małego bzika. Na wiele lat przed śmiercią nie chciał widywać nikogo, to też, jak powiada moja matka, żywa dusza nie mogła wejść do jego domu, strzeżonego jak więzienie.

Coraz więcej zaciekawiona, miss Blake zaczęła przyglądać się domowi, i spróbowała poruszyć furtką będącą w kracie—wychodziło to na jedno jak gdyby chciała zatrząść wielkim marmurowym domem.

— A któż teraz tam mieszka? zapytała.

— Jakaś młoda pani, odpowiedział.

— Młoda pani? powtórzyła, i któż więcej.

— Nikt, odrzekł chłopiec.

— Nie może przecie być aby młoda pani mieszkała tam sama jedna?

— Przeciwnie, mieszka sama z jednym czy dwoma służącymi.

— Czy ta pani ma męża?

Tom Pepp nie wiedział co odpowiedzieć na to pytanie; jednakże po namyśle uznał że nie musi być mężatką, skoro mąż z nią nie mieszka. Nazwiska jej nie wiedział.

— Jakże ta pani wygląda?

— Nie wiem, bo nigdy jej nie widziałem, odrzekł Tom Pepp. Ta pani nigdy nie wychodzi i nikt prócz chłopca od rzeźnika nie przychodzi do Labiryntu. A co prawda i on nawet nie wchodzi do wnętrza, tylko zadzwoni stanąwszy przy kracie, i czeka póki nie przyjdzie jakaś kobieta w wielkim kapeluszu na głowie, która załatwia wszelkie sprawy.

— No! dopieroż to wesoło musi tam upływać życie młodej kobiecie, rzekła drwiąco miss Blake; widocznie musi ona mieć powody ukrywania się przed światem.

— Raz, bardzo rano, matka moja spotkała ją w kościele, z podniesioną woalką, i powiada że w całem Foxwood nie ma równie pięknej twarzyczki. Miss Blake odeszła, pożegnawszy chłopca. Tom Pepp pracował u fermiera Truefit; zastanowiwszy się że już stracił z pół godziny czasu na tę rozmowę, uznał stosownem nie próżnować dłużej i zwrócił się ku fermie, idąc w tym samym kierunku co miss Blake. Spojrzawszy bez myśli na drugą stronę drogi, ujrzała głowę i ramiona wychylającego się przez lufcik gentlemena, który widocznie bacznym śledził ją wzrokiem.

— Co to za pan? zapytała idącego za nią chłopca.

— Ten?... tam?... ach! jakże to on się nazywa?... aha! przypominam sobie—pan Smith. Tak, to jest pan Smith, obcy przybysz w tej okolicy. Przyjechał tu nie wiele przed śmiercią mistress Andinnian—mówią że jest to ktoś z jej przyjaciół.

— Podobno ta mistress Andinnian była wielką dziwaczką? rzekła miss Teresa, którą bawiły roztropne odpowiedzi chłopca.

— Nie widziałem jej nigdy, odpowiedział Tom Pepp. Nie znam także nowego pana Foxwoodu, sir Karola Andinnian. Zapewniają że ma niedługo przyjechać tu z żoną... Spodziewam się ze będzie tak dobry dla wieśniaków jak nieboszczyk sir Józef.

Szli dalej, a miss Blake wiedziała dobrze iż ów gentleman z Klematytowego domku nie przestaje śledzić jej wzrokiem. Doszli do miejsca w którem droga zwracała się na lewo, ciągnąć się już wprost ku wsi. Miss Blake rzuciła na nią wzrokiem, jednak nie zbaczając szła w prostym kierunku, jak gdyby zamierzając dojść aż do stacyi kolei. Oglądała się ciągle na wszystkie strony, i nagle spostrzegła z drugiej strony drogi wielki stos rozsypanych ruin, w pośród których widniała jakby duża sala.

— Co to takiego? zawołała zatrzymując się, w chęci przypatrzenia się ruinom.

— Ruiny, odrzekł Tom Pepp. Kiedyś wznosiła się tu kaplica szarych braci, zakonników z klasztoru.

— Jakich braci i z jakiego klasztoru? zapytała niewymownie zaciekawiona.

— Zakonni bracia wymarli od lat wielu, klasztor rozpadł się w gruzy, a na przyległym gruncie powstała ferma pana Truefit, odrzekł chłopiec i zamilkł nagle, przestraszony widokiem swego pana, którego dostrzegł w pobliżu.

Zabudowania fermy wznosiły się w pewnej odległości po za ruinami, ale miss Blake zaledwie rzuciła na nie wzrokiem—ruiny pochłaniały całą jej uwagę.

— Spodziewam się że przecież nie sprofanowano świętych ruin i nie urządzono w środku stodoły lub czegoś podobnego, zawołała przechodząc w szerz drogę, aby się zbliżyć ku zgliszczom. Tu

i owdzie sterczały odłamy na wpół rozwalonych murów, nieco dalej leżał omszały bluszczem owity kamień, który zdaniem miss Blake, musiał być częścią podwalin dzwonnicy.

— Ależ ruiny to nie są i nigdy nie służyły za stodołę, rzekł Tom Pepp. Przed kilku laty wyreperowano część walących się murów i urządzono tu szkołę dla dzieci wiejskich, do której i ja chodziłem. Ale nie długo to trwało. Lady Andinnian poróżniła się z pastorem Sumnor i zarządem i oznajmiła iż nadal zabrania dzieciom przychodzić do jej szkoły, wskutku czego zarząd został zniewolony inną szkołę pobudować we wsi. Powszechnie utrzymywano że to sir Józef przysłał na nią bezimiennie w kopercie zapieczętowanej pięćset funtów szter., i pewnie to prawda gdyż był to pan bardzo zacny i miał bardzo dobre serce—ilekroć żona się nie mięszała.

Miss Blake jednem zaledwie uchem słuchała chłopca, całkiem zajęta projektem jaki powstał w jej głowie, podczas zwiedzania wnętrza ruin. Sala była dość długa ale wązka, ściany pobielone wapnem, belki podpierały sufit, po obu stronach wybite były w ścianach wysokie okna.

Im więcej miss Blake rozpatrywała się w ruinach, tem więcej utwierdzała się w przekonaniu że miejsce to doskonale nadaje się na kaplicę dla pana Cattacomb. Tom Pepp, wziąwszy psa na ręce skrył się w najciemniejszy kącik, pragnąc gorąco aby pan jego nie nadszedł w tę stronę, zanim zdoła zbiedz niepostrzeżony. Powiedział miss Blake że ruiny te należą do pana Truefit, w rzeczywistości zaś były mu tylko wydzierżawione, wraz z gruntami będącemi częścią posiadłości Foxwood.

— Czy od czasu przeniesienia szkoły, sala ta nie służyła na inny jaki użytek? zapytała miss Blake.

— Nie, była zamknięta aż do śmierci lady Andinnian, a następnie, o ile wiem, wcale się nią nie zajmowano.

— Jaka to śliczna będzie kaplica! myślała sobie miss Blake, a to małe tuż przy niej zachowanie, wybornie nada się na zakrystyę. O! nie trzeba tracić czasu!...

I wyszła śpiesząc ku wskazanemu jej przez Toma Pepp panu Truefit. Spotkali się pomiędzy zagonami rzepy. Otyły ale grzeczny bardzo dzierżawca, dowiedziawszy się że miss Blake jest krewną młodej lady Andinnian, żony nowego pana Foxwood-Court i że mieszka w pałacu pego, zdjął z uszanowaniem kapelusz i najchętniej zezwolił jej zająć salę w ruinach na jaki tylko zechce użytek. Pewnym był że miss Blake zamierza urządzić ją na kaplicę metodystów lub na salę posiedzeń jakichś missyi.

Tak więc świetny ów projekt dojrzewał coraz więcej w umyśle miss Blake; podziękowawszy panu Truefit, zawróciła się ku Foxwood-Court, gdyż mistress Cleeve miała odjechać w ciągu dnia. Gdy przechodziła koło Labiryntu, przypomniawszy sobie co jej powiedział chłopiec, wzięła ją ciekawość zajrzéć przez kratę, czy przypadkiem czegoś nie zobaczy. Patrzyła tak czas jakiś, a nie mogąc nic dojrzéć odwróciła się prędko, wpadając prawie na jakiegoś gentlemana (dżentlemena) przechadzającego się spokojnie pod drzewami rosnącemi przed kratą.

Gentleman ten był dość wysokiego wzrostu, wcale przystojny, z zielonemi okularami na nosie i z czarnemi faworytami, jak się zdawało miss Blake ten sam który tak uporczywie śledził ją wzrokiem wyglądając przez lufcik. Ubrany był w szary garnitur, rękę nosił na chustce i na tejże miał czarną rękawiczkę.

Był to, jak powiedział Tom Pepp, pan Smith. Zdjął kapelusz i przeprosił grzecznie miss Blake, która odpowiedziała mu bardzo uprzejmie. Z tego wywiązała się rozmowa, dowodząca że pan Smith umie ją prowadzić i jest bardzo przyjemnym człowiekiem.

— Mówisz pani, rzekł, że Labirynt jest miejscowością obudzającą ciekawość, tak zapewnie, a to z tytułu że labirynty rzadko gdzie teraz spotkać można.

— Mówiono mi że zamieszkuje go jakaś samotna młoda dama?

— Podobno... a raczej tak rzeczywiście, gdyż widziałem ją i rozmawiałem z nią nawet, odpowiedział.

— Jakto?... rozmawiałeś pan z nią!... zawołała coraz więcej zaciekawiona.

— A tak, gdy udałem się do niej dla odebrania zapłaty należnej sir Karolowi Andinnian za wynajęcie domu, odrzekł spokojnie.

— Któż to jest?

— Jakaś mistress Grey.

— A więc kobieta zamężna?

— Ma się rozumiéć, kobieta tak młoda nie chciałaby pewnie żyć tak odosobniona gdyby nie miała męża.

— Ależ gdzież jest ten mąż?

— Podróżuje—tak przynajmniej wnoszę z tego co mówiła.

— Więc mówisz pan że jest bardzo młoda?

— Tak.

— A czy ładna?

— Rzadko zdarza się spotkać kobietę równie zachwycającą, odpowiedział.

— Doprawdy?... no to dziwna rzecz iż się ukrywa tak starannie.

— Tak pani sądzi? mnie znowu zdaje się iż osoba tak młoda, zniewolona żyć czas jakiś rozłączona z mężem, nie mogła obrać stosowniejszego miejsca zamieszkania.

— Zapewnie, pod pewnym względem masz pan słuszność, przyznała miss Blake. Czy ta pani bywa gdzie w sąsiedztwie?

— Nie sądzę, a nawet prawie pewny jestem że nie, gdyż widziałbym ją wychodzącą. Przechadza się czasami i niekiedy bywa w kościele na niedzielnem nabożeństwie; zazwyczaj jednak siedzi zamknięta w swojem schronieniu, strzeżona przez dwoje wiernych sług.

Tak rozmawiając doszli do kraty przed domkiem Klematyt Miss Blake zapytała jeszcze czy nie mógłby udzielić jej jakich szczegółów odnoszących się do widzianych ruin, i pan Smith (który sam jej się przedstawił, wymieniając swoje imię i nazwisko ze swobodą znającego świat gentlemana), odpowiedział że nie zna ich wcale, ale że ma u siebie księgi odnoszące się do tej miejscowości, może więc jej je przedstawić, jeźli raczy zrobić mu ten zaszczyt i wejść na chwilę do jego saloniku.

Nieco oczarowana nadzwyczajną uprzejmością i grzecznościami pana Smitha miss Blake zgodziła się na jego propozycyę i uznała że miał wcale ładny i wesoły salonik. Pan Smith, zdjął zielone okulary, nadmieniając jakby od niechcenia że ma wzrok dość słaby, zatem wychodząc musi osłaniać go przed blaskiem słonecznym, poczem zaczął przeglądać księgi. Nie znalazł w nich jednak więcej szczegółowych wiadomości o klasztorze i jego ruinach, nad udzielone miss Blake przez Toma Pepp,

— Zranił się pan w rękę, zapytała po chwili, widząc że parę razy ostrożnie wysuwał rękę z chustki i znać było że z trudnością może nią władać Zapewnie jakiś wypadek?

— Tak, bardzo już dawno, ale nie odzyskałem i nigdy podobno nie odzyskam zupełnej władzy w ręce, i dla tego zmuszony jestem nosić ją na chustce.

Miss Blake pożegnała pana Smitha, który bardzo ceremonialnie odprowadził ją aż do kraty ogrodowej; zdawałoby się iż pragnął usilnie wywrzéć na nią jak najkorzystniejsze wrażenie.

— Bardzo miły i nader uprzejmy gentleman, pomyślała sobie miss Blake, a nadto widać dobrze powiadomiony o wszystkiem. . Bardzo chciałabym wiedziéć co to za jeden.

Potem, inny przybierając kierunek, myśli jejześrodkowały się około Labiryntu i młodej damy tamże mieszkającej—ze szkodą pana Cattacomb i tak obiecujących ruin. Później powiedziała sobie że było to przeczucie.

XII.

Wieczorna przechadzka.

Miss Blake postawiła na swojem. W bardzo niedługim czasie sala znaleziona w ruinach zamieniła się w kościół tak nazwany ś. Hieronima, a to dzięki działalności miss Blake i kilku panien które przybrała sobie do pomocy. Posłyszawszy od niej o gorliwości i niezrównanych przymiotach wielebnego Gwidona Cattacomb, zapragnęły gorąco poznać jak najprędzej tak świetną gwiazdę. Miss Blake poświęciła temu zadaniu żelazną swoją wolę i wytrwałość, a gdy raz sprawę jakąś wzięła do serca, nikt jej nie przewyższał w gorliwości.

Łatwo pojąć że opuszczona sala, podobno dawny refektarz, wiele wymagała zachodu zanim dałaby się zamienić w kaplicę—ale miss Blake dokazała cudu. Oddała na ten cel wszelkie swoje dochody jakiemi tylko rozporządzać mogła, a gdy się okazały niewystarczające, zwróciła się o pomoc do przyjaciół. Porozumiawszy się z miss Saint-Henry i z miss Moore, postanowiły udać się kwestować do sąsiadów, wszędzie gdzie tylko mogły spodziewać się dobrego przyjęcia. Te ich trudy nie zawsze były uwieńczone powodzeniem. Niektore osoby odpowiadały iż nie widzą zupełnie potrzeby otwierania drugiego kościoła, i zamiast spodziewanych funtów szterlingów, dawały szelingi. Jednakże pewna sędziwa lady, tak została wzruszoną wymową miss Blake (o ile mogła dosłyszeć gdyż miała słuch nadzwyczaj przytępiony, a jej panna do towarzystwa powiedziała później iż zdawało się ciągle staruszce że chodzi o założenie szkoły przemysłowej i osadzenie przy niej stałego kapelana) iż podała jej czek na 50 gwinei. Zobaczywszy go, miss Blake własnym nie dowierzała oczom, i zapewniła sędziwą matronę iż w nagrodę za tak szlachetną hojność, spadną na nią z nieba wszelkie błogosławieństwa. Przyjaciele miss Blake także hojne nadesłali datki, tak że zebrano potrzebną summę, wystarczającą nietylko na urządzenie kaplicy i zainstalowanie wielebnego Cattacomb'a, ale i na kilkomiesięczne jego utrzymanie. Jak powiedzieliśmy, miss Blake całą duszą oddała się tej sprawie, i tylko w samej głębi serca kryły się jeszcze wspomnienie i ciężki żal do Karola Andinnian,

Popołudniowe słońce roztoczyło swój blask nad prześlicznemi kwiatami i nader starannie utrzymanemi kobiercami i murawami Foxwood-Court, w chwili gdy miss Blake wyszła z salonu w nader starannem spacerowem ubraniu. Jak wiadomo zawsze dobrze się ubierała, ale dziś toaleta jej wię-

cej niż kiedy była elegancką i wyszukaną. Stała kilka minut rozpatrując się w prześlicznym otaczającym ją krajobrazie, w pięknie urządzonym ogrodzie, i serce jej zawrzało gwałtownym gniewem: gdyby nie Łucya, pomyślała sobie, wszystko to należałoby do mnie. Jak wiemy uwidziała to sobie tylko, ale nikt nie zdołałby przekonać ją o tem. Odganiając myśl tę siłą woli, zaczęła iść prędko jak osoba nie mająca czasu do stracenia. A wielki to był dzień, w którym spełnić się miały dwa nader doniosłe fakta, wstrząsające do głębi całą istotą miss Blake. Wielebny Gwidon Cattacomb miał przybyć pociągiem przychodzącym o czwartej, zaś sir Karol przyjeżdżał z żoną już na obiad.

Miss Blake zwróciła kroki do kaplicy Świętego-Hieronima; trzymała w ręku bukiet z najrzadszych kwiatów cieplarniowych. Przechodząc koło Labiryntu, rzuciła ciekawe spojrzenie na ogród którego część można było widzieć przez żelazne sztachety osadzone w bramie, a wkrótce połączyła się z gronem młodych osób dążących także do kaplicy. Stosownie do umowy miały się tam zebrać wszystkie przed południem, aby przed przybyciem pasterza przekonać się ostatecznie czy jeszcze nie brakowało czegoś.

Urządzenie nowej kaplicy wywołało w Foxwood różne komentarze: matki obarczone licznemi zajęciami, przestrzegały swe córki aby się strzegły tych nowości, ale córki nie mające nic do czynienia oddały się całkiem tej nieznanej im przyjemności, z początku skrycie, następnie otwarcie, a w końcu z równym zapałem jak miss Blake, dla tego też oczekiwały z gorączkową niecierpliwością przybycia wielebnego Gwidona Cattacomb.

Miss Blake otworzyła drzwi, ale zatrzymała się na progu, spostrzegłszy z niezadowolnieniem że tuż pod ścianą kaplicy stoją taczki napełnione ziemią.

— Jestem pewna że Tom Pepp ustawił je w tem miejscu! rzekła miss Blake surowym tonem. Ten chłopak ciągle się tu kręci i sprowadza za sobą roje uliczników. Skoro pan Cattacomb...

— Dzień dobry, pani!

Miss Blake odwróciła się prędko i spostrzegła pana Smith, z ręką na temblaku i w zielonych okularach. Widziała go już parę razy po pierwszej znimrczmowie, ale wtedy kłaniał jej się tylko w milczeniu.

— Czy wolno wejść? zapytał wskazując ręką drzwi kaplicy.

— O! ma się rozumieć, odpowiedziała. Mam nadzieję że pan będzie gorliwie uczęszczał na nasze nabożeństwa.

Korzystając z pozwolenia wszedł do kaplicy. Było to rzeczywiście śliczne miejsce jak się wyraziła głośno Joanna Saint-Henry, ale nie przypominało niczem świątyni anglikańskiej. Wszędzie pełno było kandelabrów, świeczników i kwiatów, bo miss Blake znała dobrze upodobania pana Cattacomb. Zwyczajne krzesła wyplatane trzciną stały poustawiane rzędami. Blizko ołtarza znajdowały się drzwi do zakrystyi, do której także można było wejść prosto ze dworu.

— Wszak prawda że tu ślicznie? odezwała się Joanna Saint-Henry zwracając się do pana Smith.

— Tak, tylko trochę ciasno, odpowiedział, i nie mogę się domyśléć jakiej sekty nabożeństwo odprawiać się tu będzie.

— Sekty! zawołała miss Saint-Henry, zasłaniając uszy rękami, jakby usłyszała jakieś bluźnierstwo.

— Na miłość boską, nie mów pan nic podobnego, odezwała się Marta Sumnor. Ojciec starałby się jeszcze usilniej powstrzymać nas od uczęszczania do tej kaplicy.

Pan Smith nie miał zamiaru obrazić żadnej z tych dam, zadał tylko proste pytanie, ukłonił się więc i prosił o przebaczenie grzecznie ale z pewnem zadziwieniem, gdyż zdawało mu się że poznaje córkę miejscowego pastora; nie pojmował po co tam przyszła.

Tak było rzeczywiście, dwie młodsze córki pana Sumnor przyłączyły się do przyszłych owieczek Gwidona Cattacomb. Idąc za przykładem matki opierały się we wszystkiem woli ojca.

Zaliczano Foxwood do miejscowości bardzo zdrowych, dla tego też chorzy z sąsiedniego miasta Basham, przenosili się tam na letnie mieszkania, co zmusiło do zbudowania w środku wsi całego szeregu domków, jedynie dla przybywających w lato gości. Ulicę przy której stały nazwano Rajską. Ładne to było na spojrzenie, ale nie trzeba było przyglądać się bardzo: na zewnątrz fasady z białego stiuku; wewnątrz deski i wapno. Jeźli ktoś zbyt silnie zapukał do jednych drzwi, wszystkie domy drżały, a gdy w jednym salonie zadzwoniono, słyszeli to sąsiedzi na lewo i na prawo wzdłuż całej ulicy.

Właśnie w jednym z tych przyjemnych domków, miss Blake oraz jej towarzyszki zatrzymały pomieszkanie dla wielebnego Gwidona Cattacomb. Domek był naznaczony numerem 5 ym, należał do mistress Jinks, a mieszkanie składało się z salonika z oknami na ulicę i z pokoju sypialnego. Mistress Jinks, zwana przez sąsiadów i przyjaciół wdową Jinks, była kobietą już całkiem niemłodą, nosiła na głowie ogromny czepiec wdowi czarny jak sadze, a zwykle na nim jeszcze większy i równie czarny kapelusz. Ucieszyła się bardzo gdy wynajęto u niej mieszkanie dla nowego pastora i uwiadomiła o tem z dumą swe sąsiadki, nadmieniając że prawdopodobnie pozostanie już jej stałym lokatorem. Ale nowy pastor nie przybył jeszcze a już zadowolnienie jej zmniejszyło się bardzo; nudziło ją to i gniewało że musiała najmniej dwanaście razy na dzień otwierać drzwi młodym miss, znoszącym różne rzeczy dla przyszłego pastora.

Wszystkie młode panienki wyszły jednocześnie z kaplicy i udały się razem na ulicę Rajską, gdzie miały czekać na przybycie wielebnego Gwidona Cattacomb i przekonać się czy mu nie brak czegoś jeszcze, tak co do sprzętów jakoteż co do masła i innych artykułów spożywczych. Miss Blake nie bardzo była rada z tak licznego orszaku—ale jakimże sposobem mogła uwolnić się od niego? Przez całą drogę rozmawiali tylko o panu Smith, nie tając się z tem że byłyby bardzo rade dowiedzieć się po co przyjechał do Foxwood. Miss Saint-Henry przypominała sobie że jej ktoś mówił że pan Smith jest dawnym już przyjacielem Andinnian'ów, i że w czasie nieobecności sir Karola pełnił obowiązki rządcy.

— Więc on jest rządcą! zawołała miss Blake podnosząc głowę.

— Tak, ale nie zwyczajnym rządcą, ma się rozumieć, pełni te obowiązki jedynie przez grzeczność...

— O! w takim razie, to zmienia postać rzeczy! odpowiedziała miss Blake, pukając silnie, z jakąś uroczystą powagą do drzwi domu wdowy Jinks.

— Jak też ta stara Jinks mogła uczynić coś podobnego, rzekła Jemina Moore półgłosem gdy weszły do salonu.

Powodem tego oburzenia było, że wdowa Jinks nie zmieniła toalety na przyjęcie nowego lokatora. Miała na sobie codzienną, czarną i bardzo wyszarzaną suknię, stary czepek, a na nim ogromny i pamiętający dawne lata kapelusz. Twarz i ręce odpowiadały ubraniu, słowem, wyglądała jak osoba oderwana nagle od szorowania rądli i garnków.

— Trzebaby koniecznie zwrócić na to jej uwagę, tym więcej że i minę ma zadąsaną.

Miss Blake włożyła do ładnego wazonu swój kosztowny bukiet, gdyż był przeznaczony dla pana Cattacomb. Ustawiła na tacy wino i ciasta, nakłoniła mistress Jinks do zmiany toalety, a gdy wszystko już było skończone, zaczęło się niecierpliwe oczekiwanie.

Wkrótce oczekiwanie zamieniło się w powątpiewanie, a wątpliwości w uczucie przykrego zawodu.

Skazówki zegara posuwały się co raz dalej; pociąg musiał przyjść już dawno; widocznie, wielebny Gwidon Cattacomb nie przyjedzie!... Miss Blake wróciła do domu trochę rozdrażniona, i zastała już w Foxwood-Court sir Karola i lady Andinnian.

— Niekiedy rzeczy układają się tak jakby chciały popsuć nasze zamiary. Oczekiwano ich znacznie później, i miss Blake chciała prezydować na dwóch przyjęciach, a nie prezydowała na żadnem. Szła właśnie przez drogę rozdzielającą trawniki, gdy do niej wybiegła Łucya, świeża jak pączek róży i promieniejąca radością.

— To ty Łucyo! zawołała miss Blake.

— A! Tereso, jakże tu pięknie, jak jestem szczęśliwą; rzekła Łucya całując kuzynkę. Karol oprowadził mnie już po wszystkich pokojach. Hewitt powiedział nam ze wrócisz wkrótce.

— Kiedyż przyjechaliście, Łucyo?

— Przyjechaliśmy pociągiem który przychodzi tu o czwartej, a od stacyi najętym powozem. Otóż i Karol idzie do nas.

Karol zbliżył się do nich aby powitać miss Blake, która zwróciła się ku niemu z miną obojętną.

— Jakże zdrowie, sir Karolu? rzekła zimno podając mu końce palców.

Źle wyglądał, na twarzy jego malowało się znużenie i jakiś tłumiony smutek. Weszli razem do sieni, do której promienie słońca wpadały przez kolorowe szyby, rozweselając wszystko dokoła. Sień rozdzielała salę jadalną od salonów i pokoi bawialnych; Karol pokazał żonie właśnie tę część domu, i Łucya oświadczyła mu że nigdy jeszcze nie widziała nic równie ładnego.

— Przekładam ten salonik nad inne, pomimo że są większe i okazalsze, rzekła miss Blake prowadząc ich do pokoju od północy, w którym widzieli ją siedzącą przy śniadaniu razem z mistress Cleeve.

— W takim razie nazwiemy go twoim salonem, Tereso, odpowiedziała Łucya. A! masz słuszność.. bardzo ładny, mówiła dalej spoglądając na ściany pokryte obiciem białem w złoty deseń, piękne meble pokryte karmazynowym atłasem, a nakoniec na otwarte szklane drzwi przez które widać było taras ozdobiony ślicznemi kwiatami, a za nim trawnik wielki i gładki jak aksamit.

— Zdaje mi się że był to ulubiony pokój lady Andinnian, rzekł Karol.

— Muszę zobaczyć wszystko, zawołała Łucya wybiegając na taras. Stacya kolei musi być w tej stronie, a w tej znów wieś Foxwood.

Naprzeciwko drzwi znajdowały się schody prowadzące na trawnik, Łucya schodziła z nich i wbiegała znów na nie wesoło, Karol rozmawiał z miss Blake.

— Na drugim końcu domu znajduje się pokój tej samej wielkości i także od północy, zapewnie go znasz, miss Tereso? Słyszałem że był to gabinet sir Józefa.

— Hewitt nazywa go obecnie gabinetem sir Ka-

rola, rzekła miss Blake. Musiałeś tam zwykle palić cygaro, sir Karolu?

— Tak, kilka razy, wczasie choroby mej matki, ale w ogóle nie jestem wielkim palaczem, jedno cygaro wieczorem... i to jeszcze nie zawsze.

— Czy widziałam już ten pokój, Karolu? zapytała Łucya.

— Nie, Łucyo, nie ma tam nic godnego widzenia.

— A! Karolu, jestem pewna że będę go lubić więcej nad wszystkie inne, skoro to będzie twój pokój.

— Jeżli tak to chodź ze mną, pokażę ci go chętnie.

Podała rękę mężowi który pochylił się ku niej z miłym uśmiechem; miss Blake idąca za nimi przycięła usta. Sir Karol jest bardzo zmieniony, mówiła w myśli, stracił zupełnie swą dawną żywność i wesołość, a prócz tego... nie zdawał się zbyt ucieszony jej widokiem.

Pokój na drugim końcu domu wyklejony szarym obiciem wyglądał trochę posępnie; książki i mapy leżały na półkach, na środku stał wielki stół a na nim duży kałamarz; jedyną ozdobę kominka stanowiła ogromna puszka do tytoniu, z chińskiej porcelany.

— Słuchaj, Karolu, ten wielki fotel będzie dla ciebie, ja zaś zatrzymuję dla siebie ten mały... i pozwolisz mi tu wchodzić skoro tylko zechcę... chociaż widzę że to będzie twój gabinet do pracy jak był za sir Józefa.

— Będziesz tu mogła wchodzić ilekroć ci się tylko podoba, moja droga.

Karol mówiąc to otworzył szklane drzwi, wyszedł na taras, zerwał najpiękniejszą różę i przyniósł ją żonie. Łucya przyjęła ją w milczeniu, ale miss Blake przed której wzrokiem nic się ukryć nie mogło, dostrzegła że ich ręce zostały długo połączone, i że Łucya podziękowała mężowi pełnem czułości spojrzeniem.

— Może życzysz sobie, lady Andinnian, abym ci pokazała wasze pokoje na górze; zapewnie nie widziałaś ich jeszcze?

— Ja sam zaprowadzę tam Łucyę, miss Blake, rzekł Karol.

Pokój sypialny był obszerny i zbytkownie urządzony, wchodziło się z niego do dwóch gabinetów do ubierania, na prawo był gabinet Karola—ostatni pokój po tej stronie domu, na lewo gabinet Łucyi, a za nim drugi pokój sypialny. Wszystkie te pokoje były w jednym rzędzie, i skoro drzwi były pootwierane można było widzieć wszystkie stanąwszy w jednym; prócz tego do każdego z nich było wejście z korytarza.

— Dla kogóż przeznaczony ten drugi pokój? zapytała Łucya.

Upłynęło parę minut czasu zanim Karol odpowiedział. Był to właśnie ten sam pokój w którym odebrał zwierzenie matki wywierające tak przygnębiający wpływ na jego życie, przypomniał sobie tę noc tak przykrą i przerażające wiadomości które wtenczas usłyszał. Zbliżył się do okna i wychylił przez nie głowę jakby potrzebując zaczerpnąć powietrza.

Pokój ten pozostawiono tak jak był dawniej; była to sypialnia mojej matki. w ciągu jej krótkiego pobytu w tym domu. W twoim gabineciku do ubierania urządziła sobie mały salonik w którym przesiadywała zwykle.

— Wszak to Foxwood? zapytała znów Łucya wskazując ukazujące się w pewnej odległości dachy i dzwonicę kościelną.

— Tak, Foxwood.

— Do kogóż należą te piękne drzewa po drugiej stronie drogi? rzekła wskazując ręką na prawo, w kierunku Labiryntu; zdaje mi się że widzę kominy między gałęziami. Czy tam jest dom jakiś?

— Tak, Łucyo.

— Zapewnie dom jakiegoś gentlemana. Tak blizkie sąsiedztwo mogłoby być bardzo przyjemne, jeżli tylko będzie dla nas odpowiednie. Czy tam kto mieszka?

— Tak... o ile mi się zdaje... ale jeżli mam wyznać prawdę, dodał z przymuszonym uśmiechem, to nie wiele więcej od ciebie znam te okolice. Czy zawołać Agnieszki? jestem pewny że ci gorąco w tym kapeluszu.

— Agnieszka układa rzeczy w moim gabinecie, pójdę sama do niej, ale muszę przedewszystkiem podziękować ci za tak śliczne mieszkanie, rzekła zarzucając mu ręce na szyję. Ah! Karolu jakże tu będziemy szczęśliwi!

— Daj to Boże! odpowiedział głosem drżącym od bolesnego wzruszenia, przyciskając ją z czułością do serca.

— Jakże on mnie kocha! pomyślała Łucya wchodząc do gabinetu, gdyż tłomaczyła sobie tym sposobem jego nagłe wzruszenie. Sądzę że takiej miłości jak nasza nie było jeszcze na świecie. Agnieszko ubiorę się dziś zupełnie biało.

Zeszła na obiad w sukni białej muślinowej, przybranej białemi kokardami, a do głowy przypięła białą lilię, słowem ubrała się jak panna młoda. Dzień w którym przybyła do domu męża wydawał jej się równie radosnym i uroczystym jak dzień ślubu. Biedna Łucya!...

Przy stole jedna tylko Łucya była ożywiona i rozmowna; miss Blake była w jakiemś kwaśnem usposobieniu. Sir Karol i Łucya przebrali się do obiadu, ona zaś nie spodziewając się tego nie zmieniła ubrania, i to wprowadziło ją w zły humor. Przebywając tam dotąd samotnie, zajęta myślą o panu Cattacomb i o urządzonej przez siebie kaplicy, zapomniała prawie że zwyczaj każe przebierać się do obiadu. Karol był milczący i poważny jak zwykle; Łucya przyzwyczaiła się już do tego, i przypisywała to jego usposobienie po części tajemniczym pobudkom o których nadmienił jej przed ślubem, i o których następnie nie mówili już nigdy, a po części uwięzieniu i strasznej śmierci brata.

Miss Blake odezwała się nareszcie; zaczęła mówić z największym zapałem o kaplicy świętego Hieronima urządzonej dzięki jej staraniu. Karol słuchał z wyrazem zimnej obojętności; należał do kościoła anglikańskiego, i był przeciwnikiem wszelkich zmian jakie obecnie tak często wprowadzają do niego.

— Czy wiadomo ci, miss Blake, że kaplica świętego Hieronima znajduje się na moim gruncie?

— Tak, rzeczywiście, sir Karolu, ale ten grunt jest wydzierżawiony panu Truefit, on więc tylko miał prawo udzielić potrzebne upoważnienie... i otrzymałam je od niego.

— Mam nadzieję, miss Blake, że rozsądek nie dozwoli ci posunąć się zbyt daleko.

Miss Blake zwróciła się do Hewitt'a prosząc aby jej podał kawałek chleba. Łucya zarumieniła się i spojrzała nieśmiało na męża, wiedziała z doświadczenia że nie wiele można było rachować na umiarkowanie Teresy.

— Gdy mistress Cleeve prosiła mnie, sir Karolu abym przez wzgląd na zbytnią młodość i niedoświadczenie Łucyi, bawiła tu czas jakiś przy niej,—jeźli tylko nie sprzeciwi się to waszemu życzeniu—i gdy zezwoliłam na to pragnąc być użyteczną wam obojgu, nie przypuszczałam aby tu nie było kościoła w którym możnaby znaleźć nabożeństwo codziennie w stale oznaczonych godzinach. Ja potrzebuję być codzień na nabożeństwie, jest to dla mnie równie niezbędnem jak chleb i woda.

— Nie mam nic przeciwko odprawianiu codzień nabożeństwa, jest to rzecz bardzo dobra dla osób którym czas dozwala z tego korzystać, i nie tego się też obawiam, miss Blake. Czy przypominasz sobie jak piękne nabożeństwo odprawiano codzień w katedrze winchesterskiej?

— O! tak, zapewnie, odpowiedziała pogardliwie miss Blake, były to na swój sposób dobre nabożeństwa. Możesz być zupełnie spokojnym, sir Karolu.

— Dziękuję, bardzo mnie ucieszyło to zapewnienie.

Rozmowa zwróciła się na inny przedmiot. Po obiedzie panie udały się same do saloniku od północy. Łucya stanęła przy otwartem oknie.

— Zapewnie znasz już tę całą okolicę, Tereso, powiedz mi co to za dom widać za temi drzewami i kto w nim mieszka?

— Jakaś pani, o ile mi się zdaje; w każdym razie jest to osoba prowadząca bardzo samotne życie, odpowiedziała miss Blake.

— Pytałam o to Karola, ale nie umiał mi odpowiedzieć, ponieważ te okolice mało mu są znane. Tereso! słuchaj... wszak to śpiew słowika?

— Tak, jest ich tu bardzo dużo, odpowiedziała obojętnie miss Blake.

Łucya przebiegła trawnik i zwróciła się ku kępie drzew wśród których rozlegał się melodyjny śpiew słowika. Karol przyszedł tam wkrótce do niej, podał jej rękę i chodzili razem aż do chwili w której miss Blake kazała ich prosić na herbatę.

Łucya niezupełnie jeszcze odzyskała siły, czuła się też trochę zmęczona i narzekała na ból głowy; po herbacie Karol namawiał ją aby się zaraz położyła.

— Zastosuję się do twej rady, odpowiedziała wstając. Przepraszam cię, Tereso, że nie dotrzymuję ci towarzystwa; dobranoc.

Sir Karol odprowadził żonę do sypialnego pokoju i rozmawiał tam z nią jeszcze kilka minut, a następnie udał się prosto do swego pokoju na dole i zamknął drzwi za sobą.

— Trzeba przyznać że bardzo grzeczny! pomyślała miss Blake urażona.

Wkrótce jednak usłyszała jego kroki zbliżające się do salonu.

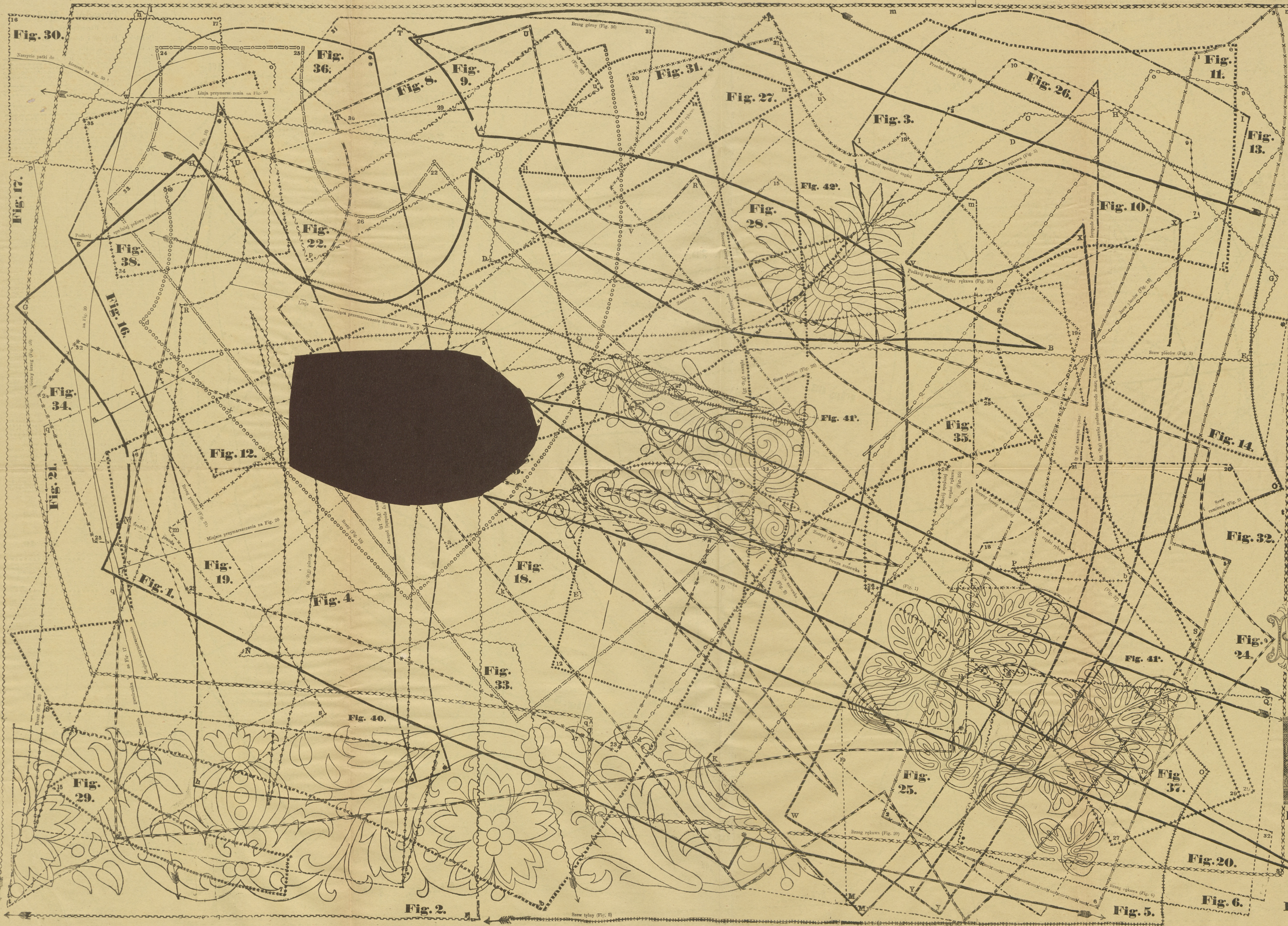
— Przyjmij i ode mnie życzenie dobrej nocy, miss Blake, rzekł podając jej rękę. Zechciej zadzwonić gdybyś czegoś potrzebowała, jesteś tu jeszcze więcej u siebie niżeli ja i Łucya.

— Czy udajesz się także na spoczynek, sir Karolu?

— Ja? o nie, idę do mego pokoju... muszę jeszcze list napisać.

To już nie tylko obraziło ale i rozgniewało miss Blake. Nie widziała w tem nic przeciwnego grzeczności że Łucya się położyła będąc zmęczoną, uważała nawet że postąpiła bardzo rozsądnie, ale nie mogła przebaczyć Karolowi że odszedł tak wcześnie, wiedząc że pozostanie sama. Musi listy pisać! Poczta już dawno odeszła... Widocznie już zupełnie zapomniał o niej, nawet jako przyjaciel... tak, była już dla niego osobą obcą i obojętną

(*D. c. n.*)



Tygodnik Mód

w Warszawie 1882 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 18 i 19.

Nr. I. Paletocik (Redingote). Ryc. 28—29 w Nrze 18.
Miara objętości przez połowę: 48 cent. w gorsie.
Fig. 1. Przód i boczek (A, B, C, D, G, H, I, N, ✻)
Fig. 2. Połowa pleców (C, D, E, F, G, H)
Fig. 3. Rękaw (I, K, L, M)
Fig. 4. Pasek do kołnierzyka (E, N)
Fig. 1a—4a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 1—4.

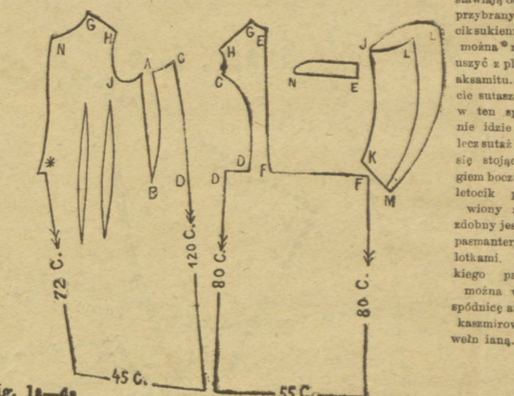


Fig. 1a—4a.

Ryciny 28-29 przedstawiają odmiennie przybrany paletocik sukienny, który można również uszyć z pluszu lub aksamitu. Wyszycie sutaszem dane w ten sposób iż nie idzie napłask lecz sutaż naszywa się stojąco brzegiem bocznym. Paletocik przedstawiony z tyłu zdobny jest bogatą pasmanterją z grelotkami. Do takiego paletocika można wziąść spódnicę atłasową, kaszmirową lub wełnianą.

Nr. II. Okrycie wiosenne z szerokim kołnierzem. Ryc. 43 w Nrze 19.
Fig. 5. Połowa okrycia (O, P, Q, ✻)
Fig. 6. Rękaw (Q, ✻, :)
Fig. 5a—6a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 5—6.
Fig. 7. Okrycie przedstawione z tyłu.



Fig. 5a—6a. Fig. 7.

Nr. III. Stanik z marszczonym karczkiem, dla panienki lat 9—11. Ryc. 29 w Nrze 19.
Fig. 8. Przód (R, S, T, U, V) 1 założenie
Fig. 9. Połowa pleców (R, S, T, U) 1 założenie
Fig. 10. Rękaw (V, W, X, Y)
Fig. 8a—9a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 8—9, z oznaczeniem linją kropkowaną zwierzchniego zmarszczonego materjału.

Nr. IV. Paletocik wcinany. Ryc. 39—40 w Nrze 19.
Fig. 11. Połowa przodu (a, b, e, f, g) 1 założenie
Fig. 12. Pierwsza część pleców (a, b, c, d, f)
Fig. 13. Druga część pleców (c, d, e, ✻)
Fig. 14. Dopełnienie drugiej części pleców (d, ✻, +)
Fig. 15. Połowa części fałdowanej (d, ✻, +)
Fig. 16. Rękaw (g, h, :, •)

Nr. V. Okrycie z fałdami. Ryc. 27 w Nrze 19.
Fig. 17. Przód (i, k, n, o, p, q)
Fig. 18. Boczek (i, k, m, ✻)
Fig. 19. Połowa pleców (l, m, u)
Fig. 20. Zwierzchnia połowa rękawa (l, m, n, o, p, q, r, s, t, v, w)
Fig. 21. Spodnia połowa rękawa (q, r, s, t)
Fig. 22. Pasek do kołnierzyka (u, p)
Fig. 17a—21a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 17—21.
Fig. 23. Przód okrycia.

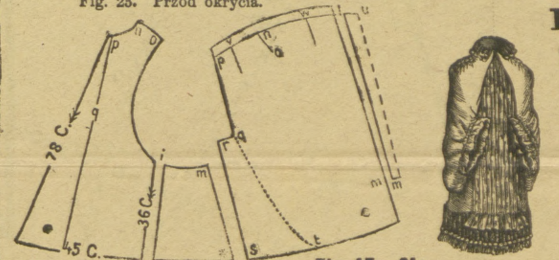


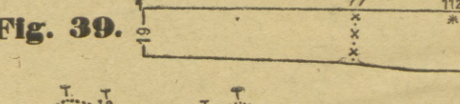
Fig. 23. Fig. 17a—21a.

Nr. VI. Paletocik półwcięty dla panienki lat 6—8. Ryc. 41 w Nrze 19.
Fig. 24. Połowa przodu (1, 2, 9, 10, 11, 15, 16, 17)
Fig. 25. Boczek (1, 2, 3, 4, 5, 6)
Fig. 26. Połowa pleców (3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10)
Fig. 27. Rękaw (11, 12, 13, 14)
Fig. 28. Połowa formy kołnierza (7, 15)
Fig. 29. Połowa paska do kołnierzyka (7, 15)
Fig. 30. Kieszeń (16, 17)

Nr. VII. Ubranie dla chłopca. Ryc. 9 w Nrze 18.
Fig. 31. Przód kamizelki (18, 19, 20, 21)
Fig. 32. Połowa pleców (18, 19, 20, 21)
Fig. 33. Przód kurtki (22, 23, 24, 25, 26, 33, 34, 35)
Fig. 34. Połowa pleców (22, 23, 24, 25, 32)
Fig. 35. Rękaw (26, 27, 28, 29)
Fig. 36. Wykład do rękawa (27, 29, 30, 31)
Fig. 37. Kołnierz (32, 33)
Fig. 38. Kieszonka (34, 35)

Nr. VIII. Chusteczka formą pelerynki, do sukni ryc. 24—25 w Nrze 19.
Fig. 39. Wskazanie kroju połowy chusteczki (✻)

Fig. 39.



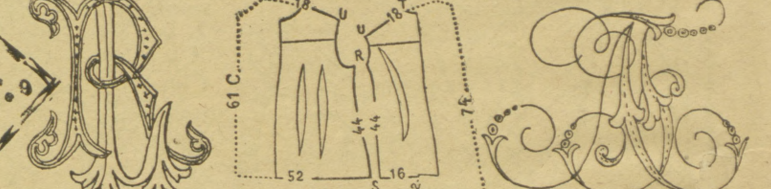


Fig. 8a—9a.

Desenie.
Fig. 40. Szlak (wyszycie w tamborku). Ryc. 16—17 w Nrze 18.
Fig. 41a—41b. Wyszycie sutaszem.
Fig. 42a. Rzucik haftem Mossul w zmniejszeniu } do ryc. 27 w Nrze 18.
Fig. 42b. Gałązka haftem Mossul } do ryc. 27 w Nrze 18.
Fig. 43. Deseń na ścieg krzyżykowy do ryc. 26 w Nrze 19.

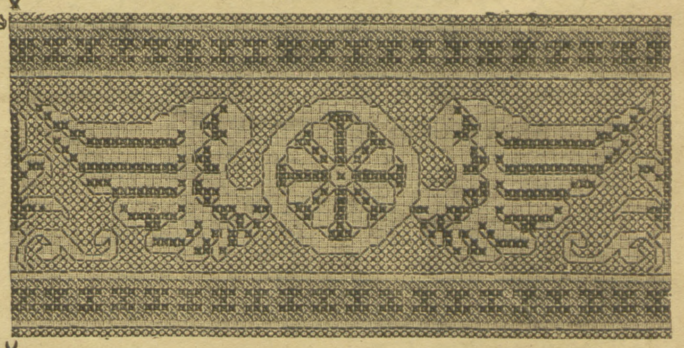
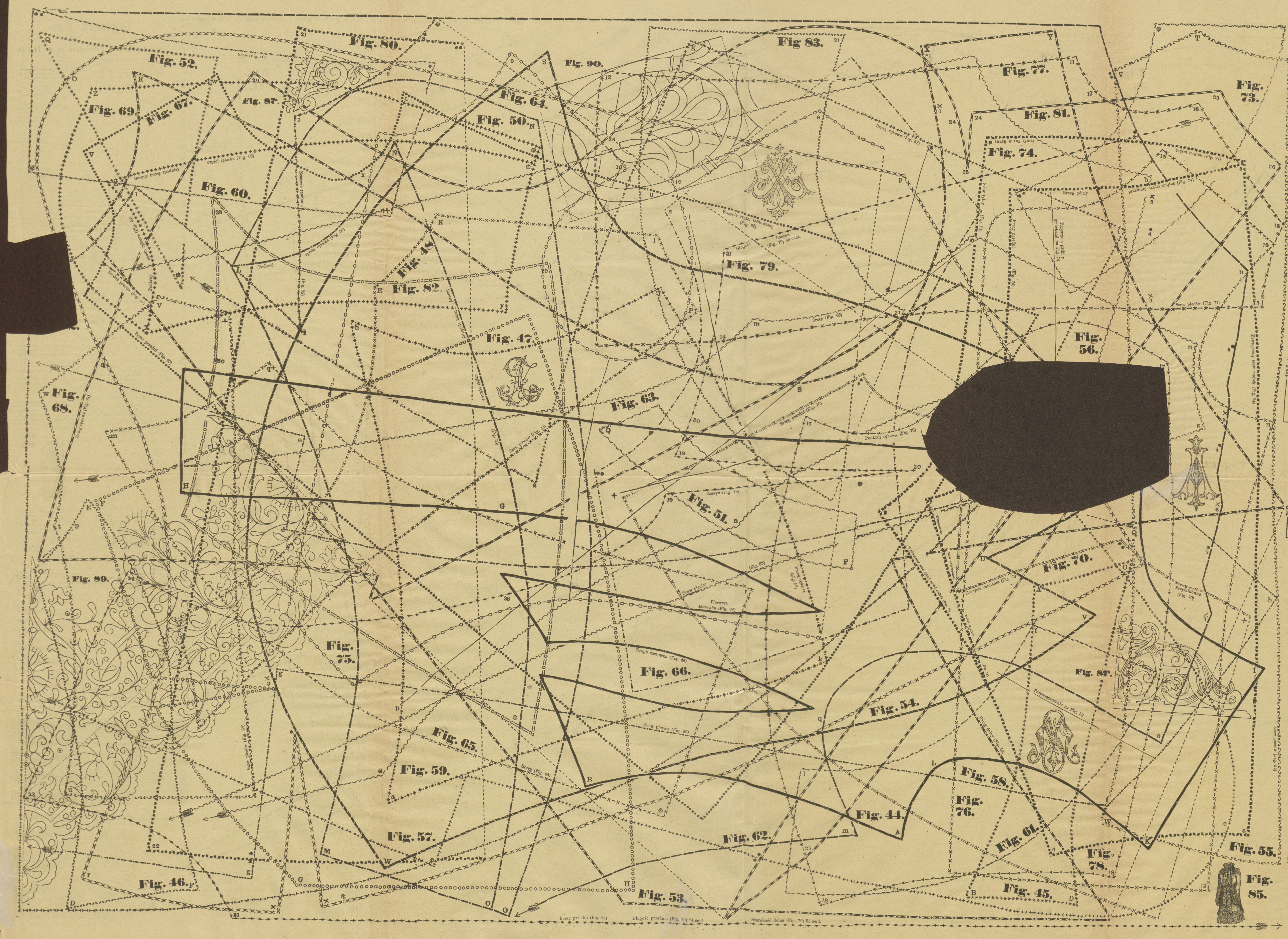


Fig. 43.



Fig. 42b.



Tygodnik Mód

w Warszawie 1882 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 18 i 19.

Nr. IX. Stanik z dodaną baskiną. Ryc. 34 w Nrze 19.
Miara objętości przez połowę: 46 cent. w gorsie, 29 w pasie.
Fig. 44. Połowa przodu (A, B, G, H, I, K, L, Q, ✻)
Fig. 45. Pierwszy boczek (A, B, C, D)
Fig. 46. Drugi boczek (C, D, E, F)
Fig. 47. Baskina (F, G, H)
Fig. 48. Połowa pleców (E, F, I, K, P)
Fig. 49. Wskazanie kroju połowy baskiny do pleców (F)
Fig. 50. Rękaw (L, M, N, O)
Fig. 51. Pasek do kołnierzyka (P, Q)
Fig. 52. Patka (Q, ✻)

Nr. X. Okrycie z dolmanowemi rękawami. Ryc. 34 w Nrze 18.
Fig. 53. Przód (R, S, X, Y, × 1 i • 1) 1 założenie
Fig. 54. Pierwsza część pleców wraz z rękawem (R, S, T, U, V, W)
Fig. 55. Druga połowa pleców (T, V, W)

Nr. XI. Okrycie wiosenne. Ryc. 44 w Nrze 19.
Fig. 56. Połowa przodu (a, b, c, h, l)
Fig. 57. Boczek wraz ze zwierzchnią częścią rękawa (a, c, d, e, h, i, k, ✻, ⁝)
Fig. 58. Połowa pleców (b, c, d, e, f, g, × 2 i • 2)
Fig. 59. Spodnia połowa rękawa (a, h, i, k, +, •)
Fig. 60. Wykład do rękawa (✻, ⁝, +, •)
Fig. 61. Połowa kołnierza (f, l)
Fig. 56a—61a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 56—61.

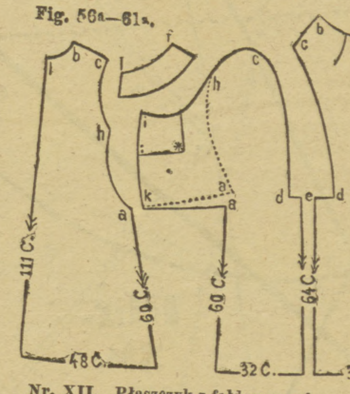


Fig. 56a—61a.

Wszystkie części formy łączą się z sobą podług odpowiednich liter i dopełniają na długość i szerokość podług miar wypisanych na zmniejszonym formacie. Zmarszczenie pleców odznaczone jest cienką linją na fig. 58. Po złączeniu obydwóch części rąkawa (Fig. 57 i 59) od l do k i od h do a i przyozdobieniu wykładem (Fig. 60) szerokości rękawa poniżej wykładu zmarszczona jest do 8 cent. Kołnierz wykładany przy wykroju ogarnirowany riuszą 4 cent. szeroką, w około brzegów przestębnowany jest kilkakrotnie. Okrycie to odrobione z cienkiego ciemno bronzowego sukienka z szarfą z atłasu tegoż koloru.

Nr. XII. Płaszczyk z fałdowanemi przodami. Ryc. 15—16 w Nrze 19.
Fig. 62. Połowa przodu (m, n, o, q, ⁝, × 3 i • 3 do × 7 i • 7)
Fig. 63. Połowa pleców (m, n, o, p, s)
Fig. 64. Zwierzchnia połowa rękawa (o, p, q, r, +, •, ✻)
Fig. 65. Spodnia połowa rękawa (m, q, r, ✻)
Fig. 66. Połowa kołnierza (s, ⁝)
Fig. 62a—66a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 62—66.

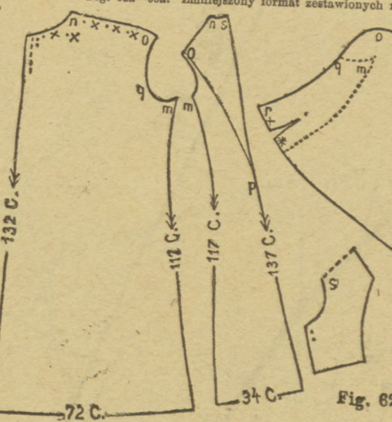


Fig. 62a—66a.

Ryciny 15—16 przedstawiają przód i plecy płaszczyka z oliwkowego szewjotu w cienkie kolorowe prążki, zdobnego szeroką atłasową szarfą, płaskiemi kamiennemi guzikami i rzędami stębnówki. Cienka linja na Fig. 63 odznacza przybranie fałdowane, przygotowane oddzielnie z materjału wziętego skośnie, tudzież wskazuje przyszycie, zachodzącej pod przybranie, zwierzchniej połowy rękawa (Fig. 64) złączonej od p do q z częścią spodnią i ozdobionej fałdowaniem 35 cent. szerokiem, wszytem w przecięcie 12 cent. długie. Szerokość zbywająca w przodach zastębnowana jest w pięć fałdów.

Nr. XIII. Płaszczyk dla dziewczynki lat 3—5. Ryc. 19—20 w Nrze 19.
Fig. 67. Połowa przodu (t, u, v, w, x, •)
Fig. 68. Połowa pleców (t, u, v, w, +)
Fig. 69. Rękaw (x, y, z, ✻)
Fig. 70. Połowa peleryny (⁝, +, •)

Nr. XIV. Płaszczyk dla panienki lat 10—12. Ryc. 37 w Nrze 19.
Fig. 71. Wskazanie kroju połowy płaszczyka (*a* połowa przodu, *b* połowa pleców, *c* rękaw).
Fig. 72. Połowa pelerynki (1, 2, ✻, ⁝, × 8 i • 8)
Fig. 73. Kołnierz (✻, ⁝)

Półwcinana paletotowa forma płaszczyka wskazana na Fig. 71, plecy dopełnia część fałdowana 32 cent. długa, 94 szeroka; przyszycie boczne przykrywa pasek pluszu 3 cent. szeroki, 27 długi. Fig. 72 daje formę peleryny; krzyżykami odznaczone przybranie fałdowane, przystębnowane z każdej strony na 32 cent. wzdłuż. Kołnierz i mankiety pluszowe; guziki ażurowe metalowe.

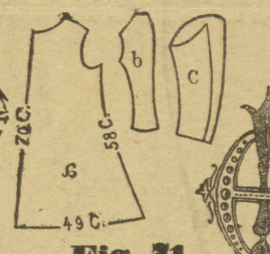


Fig. 71.



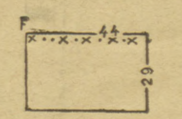


Fig. 49.

Nr. XV. Ubranie dla chłopca lat 7—9. Ryc. 28 w Nrze 19.
Fig. 74. Majtki (3, 4, 5, 6, 7, 8)
Fig. 75. Połowa kamizelki (9, 10)
Fig. 76. Przód kurtki (11, 12, 15, 16
Fig. 77. Połowa pleców (11, 12, 13, 14, 15, 16, 17)
Fig. 78. Rękaw (17, 18)

Nr. XVI. Dolman. Ryc. 35—36 w Nrze 19.
Fig. 79. Połowa przodu (19, 20, 21, 23, 24, 28, 30, 31)
Fig. 80. Boczek (21, 22, ⁝)
Fig. 81. Połowa pleców wraz ze zwierzchnią częścią rękawa (23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, ✻, ⁝) 1 założenie
Fig. 82. Spodnia połowa rękawa (28, 29, 30, ✻)
Fig. 83. Połowa kołnierza (26, 31)
Fig. 79a—83a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 79—83.

Fig. 84.

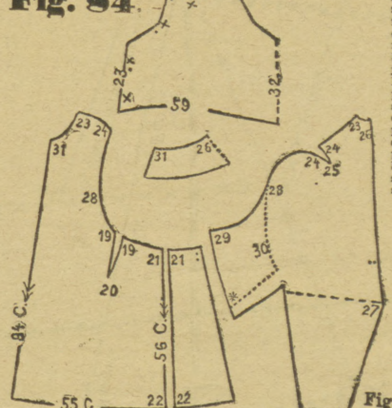


Fig. 79a—83a.

Okrycie to odrobione jest z miękiego wełnianego materjału, długą dogodną formą dolmanową z oryginalnemi plecami ściętemi frakowo, krajanemi w jednym ciągu ze zwierzchnią częścią rękawów. Plecy z przodami łączą się od 21-22 i przytwierdzają na boczkach przy dwukropku. Kołnierz z bronzowego pluszu, przybranie ze sznura i kokardy stanowią przyozdobienie. Zwracamy głównie uwagę na krótkie przecięcie od 24—25, gdyż jest ono niezbędne dla dobrego dopasowania rękawa. Spodnia połowa rękawów łączy się ze zwierzchnią od 29—28 i od 28—30 z przodami.

Nr. XVII. Kołnierz pelerynowy. Ryc. 21—22 w Nrze 19.
Fig. 84. Wskazanie kroju połowy kołnierza.
Fig. 85. Przód okrycia ryc. 31.

Desenie.
Fig. 86. Monogram
Fig. 87a. Połowa narożnika } haft maurytański do ryc. 32 w Nrze 18.
Fig. 87b. Połowa haftu przy zameczku }
Fig. 88. Wywodzenie na tiulu do ryc. 6 w Nrze 18.
Fig. 89. Narożnik do ryc. 6 w Nrze 16.
Fig. 90. Wszywka do ryc. 10 w Nrze 16.

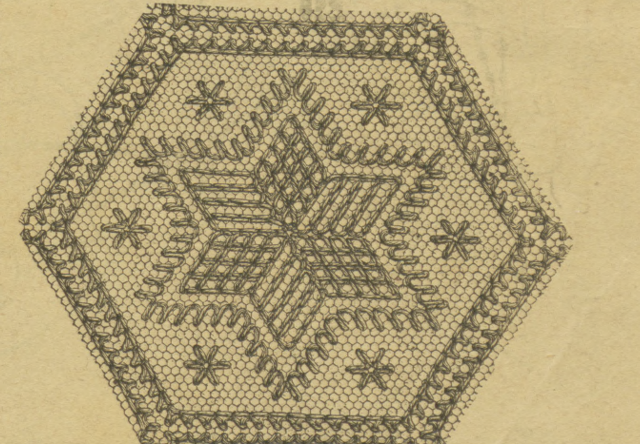


Fig. 88.